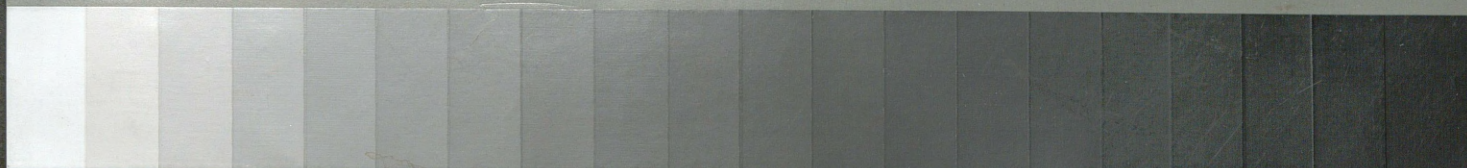


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





PELAGIA LEWIŃSKA

(BARBARA)

OŚWIECIM

POGARDA I TRIUMF CZŁOWIEKA

(RZECZY PRZEŻYTE)



WYDAWNICTWO
RADY NARODOWEJ POLAKÓW WE FRANCJI
PARYŻ — 1946

524.6. 3242

WYDANIE DRUGIE

6100/1



PRZEDMOWA

Istnieją książki i prace niezbędne. Książka, którą mamy przed sobą, należy do tego rzędu.

Sam fakt, że ludzie cierpieli — i to w sposób przechodzący wszystko cośmy dotąd wiedzieli o mękach ludzi i zwierząt, stanowi surowy nakaz nie zapominania.

A fakt, że tam — w kleszczach potwora — ostali się ludzie hartowni i czysti, że w tym morzu mąk i podłości zachowali braterstwo i godność żołnierską, fakt ten woła o pomnik, o hołd serc naszych.

Wystarczyłyby te dwa fakty — cierpienia i heroizmu ludzkiego — na uzasadnienie potrzeby tej książki. Lecz to nie wystarcza dla zrozumienia jej głównego sensu.

Autorka opisuje nie tylko koszmar miniony. Opisuje go zresztą bez szukania dodatkowego efektu. Píše ona o sprawach, które są, które trwają.

Krematoria nie straszą już krwawym blaskiem po nocach, komory gazowe nie wabią już ofiar złudnym aspektem kąpielisk.

Ale czad, ale gaz wędruje jeszcze po świecie. Przenika w liczne mózgi, w serca i tych, co w żadnym Oświęcimiu nie byli. Wielu z tych właśnie stało się rozsądnikami hitlerowskiej ideologii, która wciągnęła mąci myśli i plugawi uczucia.

Autorka stwierdza, że Oświęcim był laboratorium podłości. Tam « naukowo » badano jak niszczyć w człowieku najpiękniejsze uczucia solidarności, braterstwa, godności własnej i cudzej, odwagi, ofiarności, aby zastąpić je tchórzostwem, chciwością, brutalnością i okrucieństwem. Tam z rozmysłem, planowo przetwarzano patriotyzm w łepy szowinizm i rasizm. Tam Niemcy uczyli ludzi, czekających swej kolejki na śmierć w komorach gazowych, jak radować się widokiem Żydów, idących na tę samą śmierć przed nimi.

Czy tylko łam? Czy nie słyszymy tu i ówdzie zdania, że «to przynajmniej Hitler zrobił pożytecznego dla świata»?

Ta i inne postacie nienawiści ludzi do ludzi, żerowanie na nędzy i cierpieniu bliźnich, pogoń za łatwym zyskiem, wstręt do myśli i pracy — błkają się po krajach, które przeszły deprawującą niewolę niemiecką.

Jedna z najdłuższych w czasie, a już na pewno najokrutniejsza w metodach, okupacja hitlerowska w Polsce nie mogła nie pozostawić najgłębszych ran właśnie u nas. Polacy pierwsi zaludniali Oświęcim, ich ciała i dusze najdłuższą przebyć musiały kalwarię. I cały nasz naród — a nie tylko internowani — najdłużej był wystawiony na działanie hitlerowskiego bakcyła.

Nie szukam tu usprawiedliwień. Wiem, że bakcyl nazizmu działał u nas jeszcze przed wojną, przemycany do kraju pod łaskawym okiem ówczesnych władców. Okupant trafił u nas na grunt w dużym stopniu przygotowany. Brześć, Bereza, pacyfikacje, marszałkowski opluwanie sejmu i sławkowskie «łamanie kości», a także krzewienie «Führerprinzipu» (prezydent odpowiedzialny przed Bogiem i historią) — wszystko to było krzewieniem pogardy dla mas, z której logicznie wypływała pogarda człowieka. Rys charakterystyczny dla wszelkiego junkierstwa — zarówno pruskiego, jak i polskiego.

Mamy dzisiaj ambicję przekształcenia się z kraju junkierskiego, społecznie i gospodarczo zacofanego w jeden z krajów przodujących Europie. Mamy po temu wszelkie dane: nie tylko w postaci odzyskanych ziem przemysłowych, czy reformy rolnej, lecz również w postaci duchowego dorobku, jaki stanowi bohaterstwo milionów naszych robotników, chłopów i inteligencji w sześcioletniej walce z najazdem. Jesteśmy pierwszym narodem, który zbrojnie stawiał czoło niemieckiej próbie ujarzżenia świata. Możemy i powinniśmy być pierwsi w walce z hitlerowskim bakcylem, który wciąż jeszcze grasuje po świecie.

Są lekarze, którzy zwalczają t. zw. urazy psychiczne przez uświadomienie ich źródeł i mechanizmu choremu. Był wielki myśliciel, który głosił, że teoria (naukowa) staje się siłą materialną, kiedy ogarnie masy. Naukowe zbadanie źródeł, sposobów i dróg penetracji oraz skutków akcji hitlerowskiego bakcyła, zainteresowanie najszerzych mas przebiegiem i wynikami tych badań — oto

żaden z niezbędnych warunków dla stworzenia siły, która uzdrowi i uodporni narody.

Claude Morgan, znany pisarz francuski, nazwał wspomnienia Lewińskiej pracą naukową. Myślę, że słusznie. Albowiem — w odróżnieniu od większości dotychczas wydanych wspomnień « Häftlingów » — nie ogranicza się ona do opisu tortur fizycznych, ani nawet do (znacznie mocniej przez autorkę podkreślonej) męki moralnej. Autorka stara się wydobyć na jaw i zanalizować hitlerowski mechanizm deprawacji masowej. Stara się też — na przykładzie Oświęcimia — nakreślić obraz świata, ku jakiemu zmierzał faszyzm niemiecki :

na górze « Herrenvolk », mający prawo do wykwinu, do sentymentów rodzinnych i nawet do (po hitlerowsku pojętej) kultury, pod nim cała gęsta masa służalców, dobieranych spośród szumowin w krajach podbitych (tych zapłatą miało być prawo do ochłapów i prawo pastwienia się nad rodakami swoimi),

a najniżej, szare « bydło ludzkie » — otepiałe z cierpień, gotowe biernie iść w każde jarzmo i pod każdy tasak rzeźniczy.

Ten obraz — pozbawiony wszelkiej przesady — uświadamia nam niebezpieczeństwo, jakie groziło ludzkości. Zarazem uświadamia nam ogrom zwycięstwa jakie ludzkość odniosła przez złamanie hitlerowskiej potęgi.

Wielka jest siła w narodach, które to zwycięstwo odniosły. Wielka jest siła w narodzie polskim, który wydał z siebie tych wszystkich bohaterów nieznanych, których dzieje opowiada nam z lakoniczną prostotą książka Lewińskiej. I dobrze się stało, że pierwsza praca tego rodzaju wyszła spod pióra Polki.

Hiller i jego (nie zawsze jawni, najczęściej zamaskowani) poplecznicy polscy czynili i czynią wszystko, by zożydzić nas w oczach świata. Naszą rzeczą jest ukazać światu Polskę prawdziwą — tę, której duch odniósł wspaniałe zwycięstwa na Westerplatte, w Kołobrzegu, w Berlinie i na wszystkich frontach tej wojny.

Jednym z tych frontów zwycięskich był Oświęcim i inne obozy śmierci. Triumf odniesiony na tym najcięższym z frontów jest dla nas źródłem siły i wiary w Polskę, którą wypada nam tworzyć : Polskę ludzi światłych, sprawiedliwych i dobrych.

Jerzy Tepicht

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

100 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

DATE OF ACQUISITION: 1964
BY: [illegible]

FROM: [illegible]

PRICE: [illegible]

REMARKS: [illegible]

CLASSIFICATION: [illegible]

NUMBER OF VOLUMES: [illegible]

DATE OF ACQUISITION: [illegible]

BY: [illegible]

FROM: [illegible]

PRICE: [illegible]

REMARKS: [illegible]

CLASSIFICATION: [illegible]

NUMBER OF VOLUMES: [illegible]

DATE OF ACQUISITION: [illegible]

BY: [illegible]

FROM: [illegible]

PRICE: [illegible]

REMARKS: [illegible]

*Zamordowani przez Gestapo członkowie i współpracownicy
pierwszego Zarządu Okręgu Krakowskiego Polskiej Partii Robot-
niczej :*

*Lewiński Mieczysław,
Fik Ignacy,
Fikowa Helena,
Szatkowski Stanisław,
Jeż Mieczysław,*

Wam, Przyjaciele, rzecz tę oddaje.

*Poprzez udrękę cierpienia, mękę upokorzeń zdołaliśmy zachować
serca nietknięte, wypełniając testament Waszego nieugiętego życia,
Waszej bohaterskiej, niepokalanej śmierci.*

AUTORKA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

WIZJA OŚWIECIMIA NA WOLNOŚCI

Raz po raz spadała na miasto wiadomość, że Niemcy opróżniają więzienie. Wywożą więźniów. Dokąd? Nikt nie wiedział. Zapadali się jak w otchłań, skąd nie ma powrotu, skąd nie dochodzą znaki życia. Dochodziły natomiast masowe zawiadomienia o śmierci. Publiczność przejmowała wiadomości z żałobnych kart, którymi oblepione były odrzwia kościołów i kaplic. Rodzina nie zaprasza na pogrzeb, nie podaje dokładnej daty śmierci. Wiadomo — umarł... « Pozostali w nieutulonym żalu »... Formuła szablonowa, ustalona przez cenzurę okupanką, położyła kres indywidualnym sformułowaniom bólu, gdzie podkreślenie « umarł za Ojczyznę » było za każdym razem zewem do nieustępliwej walki za tę właśnie Ojczyznę, za którą oddał życie ten, tamten i inny.

Niekiedy kilkanaście a nawet kilkadziesiąt telegramów żałobnych z Oświęcimia pochodziło z jednej daty i odnosiło się do ludzi, których wywieziono przed czterema lub sześcioma tygodniami. Pytano: « Jakto, taki młody, silny, zdrowy w ciągu trzech, czterech tygodni — umarł naturalną śmiercią? — Niemożliwe. Nikt absolutnie w to nie wierzył. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że rzeczywiście mogą być warunki, które w tak krótkim czasie są zdolne zabić człowieka. Szukano wyjaśnienia, które było jednocześnie pociechą. Tłumaczono sobie, że Niemcy wywożą tych ludzi w strefę działań wojennych do prac pomocniczych, stąd ze względu na tajemnicę wojskową « uśmierca się ich dla rodziny. » Była to pewna pociecha,

bo przecież kiedyś po wojnie powrócą, może zdołają uciec na drugą stronę frontu. Łudzono się w dobrej wierze.

Ale były i inne tłumaczenia, przejmujące ludzi grozą — mówiono o komorze gazowej, o krematorium, skąd można odebrać prochy, co Gestapo za każdym razem proponowało za cenę kilkuset złotych. Były rodziny, które przyjmowały oferty Gestapo i płaciły ostatnie grosze, aby odebrać ukochane relikwie z rąk barbarzyńców.

Ogólnie jednak nie wierzono Niemcom. Uważano te telegramy o śmierci za chwyt, aby załamać społeczeństwo, za trick, aby wyłudzić pieniądze i na tej drodze, za « kawał » niemiecki, aby oszukać i wydrwić ludzi. Nie potrafiono zrozumieć, że ludzi, silnych i zdrowych robotników, fachowców, inżynierów, lekarzy, aresztowanych indywidualnie i branych masowo w łapankach, nie użytkuje się w tym ogromnym, rozbudowanym na całą Europę aparacie wojennym, ale niszczy się ich fizycznie, uśmierca. Nieprawdopodobne. Nie wierzono.

Oświećim — to granica śmierci. Tak samo nieznana, tak samo pełna domysłów, jak « życie » po śmierci.

ODJAZD Z WIĘZIENIA

W więzieniu, po przejściu przez udrękę i tortury przesłuchań w biurach Gestapo, czekałyśmy na rozstrzygnięcie swego losu, który mógł wyprowadzić nas na wolność, wysłać na śmierć lub do obozu koncentracyjnego. Rozpiętość możliwości, choć tak wielka, mogła być zastosowana do każdej więźniarki, gdyż przebieg śledztwa, jak również nieznany wyrok nie przesądzał i nie określał w świadomości więźnia jego losu. Zestawienie faktów w tej kwestii nie doprowadzało do żadnych wniosków, dlatego stałyśmy w obliczu niewiadomej. A nawet także było dla pozostałych nieznanym, dokąd zostały zaprowadzone te, które wychodziły z cel. Jeśli wywoływano ludzi z cel w większej ilości, przypuszczano, że przygotowany jest transport do obozu koncentracyjnego.

Wahanie : wolność, śmierć, obóz koncentracyjny przypadnie w udziale, to była atmosfera myśli i rozmów więźniarek. Dwie pierwsze ewentualności : śmierć lub wolność — określone i uspakajające; natomiast trzecia : obóz koncentracyjny — niepokojąca, zamglona słuchami jakie chodziły wśród ludzi na wolności — straszna i groźna.

Cela więzienna wiązała ludzi sympatią, a nawet serdeczną przyjaźnią w mniejsze lub większe grupki. To była siła, która wielu z nas pozwalała przetrwać mękę fizyczną i moralną w rękach oprawców gestapowskich.

W grudniu 1942 roku i styczniu 1943 w więzieniu krakowskim przy ulicy Montelupich przepełnienie było takie, że stłoczono trzy i cztery razy więcej ludzi, niż przewidziana była na ten cel przestrzeń, toteż prawie co tydzień odchodziły transporty do obozów koncentracyjnych — w Nieznane.

Dla nas ta podróż w nieznane zaczęła się 23 stycznia 1943 roku, po pełnych trzech miesiącach więzienia. Wezwanie na transport zaskoczyło mnie w więziennej izbie chorych. Ta okoliczność oczywiście nie przeszkadzała w wywiezieniu. Pozostawiono dosłownie 5 minut czasu na zebranie się w drogę. Ze wszystkich cel Niemki-klucznice wyprowadzają więźniarki. Nazwiska wyprowadzonych już obiegły więzienie. Jest nas gromadka 16 kobiet.

Wychodzimy na otoczony wysokim murem dziedziniec. We wszystkich oknach pozostałe koleżanki wyciągają przez kraty dłonie, ślą pozdrowienia i pożegnania. Okno mojej celi 39 na drugim piętrze otwarło się — odwróciłam twarz, wyciągnęłam z pozdrowieniem lewą zaciśniętą pięść, a tymczasem z góry niespodzianie uderzyła niepohamowana, wyzwolona pieśń: «Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród». Wartownicy osłupieli. Nie byli przygotowani na tego rodzaju demonstrację. Cóż właściwie mogli zrobić? Uderzyć nas parę razy kolbą i popędzić szybciej. A tymczasem niespłoszona melodia niosła do naszych uszu: «orężny stanie hufiec nasz, duch będzie nam hetmanił». Ból od uderzenia kolbą był prawie niedostrzegalny i niewspółmierny wobec tej mocy, jaką w nas tchnęła spływająca na nas pieśń. Była to manifestacja oporu, manifestacja nieugiętego ducha walki, walki, w której nie ma kapitulacji. Od tego pierwszego momentu podróży w Nieznane, od tego pierwszego aktu buntu: «nie damy się», poprzez całą dalszą wędrówkę życia w obozie, poprzez całą gehennę, aż do ostatniego aktu woli wcielonego w ucieczkę, ten właśnie opór, ta właśnie walka bez kapitulacji pozwoliła nam przetrwać, zachować życie. Kapitulacja była jednoznaczna z załamaniem się ducha, a to ze śmiercią fizyczną, na którą byliśmy przez wroga skazane.

Krok po kroku poznajemy się z całym mechanizmem uśmiercania ludzi.

PODRÓŻ W NIEZNANE

Kryte ciężarowe auta, obsadzone policją SS, przewożą nas opróżnionymi z ludzi, zamkniętymi ulicami na dworzec towarowy w Krakowie. Droga zresztą krótka. Na torze stał długi sznur bydłych wagonów, z których większa część prawie wypełniona już była ludźmi, transportowanymi z Tarnowa i Nowego-Sącza.

Nasz transport krakowski, złożony z około 160 kobiet i trzykroć takiej cyfry mężczyzn wypełnił resztę wagonów. Zasunięto drzwi, założono sztaby, a mrok wnętrza wozów osłonił twarze kobiet, skurczone bólem, trwogą, rozpaczą. Odrywano nas od miejsca, gdzie pozostały nasze dzieci, matki, nasi przyjaciele, od miejsca związanego latami życia. Pociąg ruszył, przeciął nasze osobiste życie, szczęście, naszą młodość, nasze kochanie.

Przez wąskie szpary okienek ostatnim spojrzeniem zegnałyśmy Kraków.

Stłoczyły się pytania, dokąd jedziemy, czy w tej masie rozmaitego gatunku ludzi będziemy stale, co w ogóle się z nami stanie.

Na pierwsze pytanie po przejechaniu Chrzanowa zdołałyśmy sobie odpowiedzieć: Oświęcim.

W pewnym miejscu na odcinku Trzebinia-Chrzanów rozległy się wrzaski niemieckich konwojentów. Strzały. Zatrzymano pociąg. Kilku mężczyzn wyrwało się do ucieczki. Światło latarni i reflektorów, kule i gestapowcy rzucający się w pogoń. Napięta błogosławiąca myśl towarzyszący uciekającym, popędza, wskazuje drogę, dodaje siły. Tymczasem zapadła wczesna styczniowa noc. Czekamy w postoju już ze 2 godziny. Pogoń wróciła — rezultatów nie znamy.

Pociąg się wlecze i wloką się długie godziny. W pełnej już nocy na jakiejś stacji pociąg stanął; domyślamy się — Oświęcim. Lokomotywa weksluje wagony. Jeszcze pół godziny, a jesteśmy i my u wyznaczonego celu. Odryglowują wagony. Przy każdym wagonie grupa żołdaków. Padają wrzaskliwe komendy: « loos, loos, heraus »!

Odległość pomiędzy poziomem podłogi wagonu i ziemią — około półtora metra. Schodków nie ma. Rozglądamy się za sposobem, jak tu komendę wypełnić. Odległość duża do skoku. Przed nami stromy, wyslizgany w śniegu nasyp toru kolejowego — wahamy się. Gestapowcy rozstrzygnęli kolbami nasze wahanie. Weszli drugą stroną wagonów i w kilka sekund byliśmy już na dole. Kolbami również pomogli nam się pozbierać z ziemi.

Potłuczone, ze zwichniętymi nogami nie próbujemy zbierać naszych rozspanych pakunków z żywnością i odzieżą. Nie ma czasu. Z piekielnym wrzaskiem gestapowcy, z których jedni uzbrojeni są w karabiny, drudzy po prostu w kije, formują nas w szyk obozowy: po pięć w szeregu.

Ogłuszone, potłuczone, oszołomione poddajemy się komendzie wrzasków i kijów. Wreszcie uszykowano z nas długi sznur piątek. Rozglądamy się wokoło. Jesteśmy otoczone łańcuchem SS-manów. W polu w pobliżu płonie jakiś stos drzewa. W nozdrzach dusi wstrętny, nieznany nam dotychczas smród. A w odległości 2 kilometrów światło reflektorów i lamp, jak gdyby wiszących w powietrzu, obejmuje przestrzeń jakiegoś miasta.

Wiemy już — to światła drutów elektrycznych i wieżyczek strażniczych obozu. Wywleczone z wagonu ciała zabitych, schwytanych w ucieczce, odnoszą gdzieś i kondukt ten wyrывa z ust jednego gestapowca po francusku: « C'est la vie ».

Wreszcie marsz piątkami. Podtrzymujemy się pod rękę, by nie upadać na wyslizganej drodze. Za nami po bokach ruszyły auta z karabinami maszynowymi.

Nie rozumialiśmy wielu rzeczy. Jeszcze cała potworna tajemnica obozu przed nami była zamknięta, ale już

wtedy zrozumiałam jedno — że państwo niemieckie musi być bardzo niepewne swej egzystencji, skoro utrzymuje aż taką siłę wojskową w obawie przed garścią bezbronnych, słabych kobiet. Ta myśl wypłynęła, zapanowała nad innymi i od trzech miesięcy pierwszy raz uśmiechałam się.



DRUTY ELEKTRYCZNE

Noc zapadła już głęboka, gdy wprowadzono nas w bramę obozu. Zobaczyliśmy teraz owe światła imitujące z daleka światła dużego miasta. Lampy elektryczne przytwierdzone do betonowych słupów, na których rozpięto druty kołczaste ogrodzenia obozu, rzuciły zimny, wrogi krąg światła. Lampy, odległe od siebie mniej więcej o 5 metrów, tworzyły łańcuch kół świetlnych zachodzących na siebie. Świetlny łańcuch odgrodził nas od wolności. Przekroczyć go żywej — niepodobna. Odsuwałyśmy się od nich instynktownie.

Myśl o wolności, tęsknota za wolnym życiem osuwała się o druty, rozdzierała się w strzępy o ich kolce, zamierała na nich. Wyjść poza nie?... Pomiedzy reflektorami nie ma ani małego cienia, który by pozwolił przesunąć się wykształtowanej myśli o ucieczce. Zdolność widzenia posterunku, przedłużona o bezwzględne, nieustępliwe, bezczelne światła reflektorów, wszelkie myślowe kombinacje o uwolnieniu się unicestwiała. Ono też światło uzbrajało druty w siłę zabijania. Gdyby nawet ludzka zdolność czuwania strażnika zawiodła kiedyś, światło i druty, nasycone jego siłą, nie zawiodłyby. Zabijały śmiałka.

Ale trzeba być sprawiedliwym, trzeba im przyznać tę łaskawą, dobroczynną funkcję w życiu uwięzionych. One także i wyzwalały. Wyzwalały tego, kto nie był już w stanie znosić dalej swej męki codziennej. Rankiem specjalna kolumna więźniarek, których zadaniem było sprzątanie trupów, zbierała z drutów « uwolnione ».

Zdarzały się jednak wypadki, że siła zabijania elektrycznych drutów była słabsza od odporności organizmu. To było straszne.

Pewnego razu po powrocie z pracy, o zachodzie słońca, zerwał nas na nogi dziki krzyk, przerywany jak nawoływanie tyrolskich pasterzy. Skoczyliśmy w jego kierunku. Na drutach rozpostarte dwie kobiety. Starsza, zaczepiona strzępami ubrania o kolce, bezsilnie zwisała, a druga, młoda, tymczasem oparta piersią o druty, jedną dłonią ścisnęła rękę umarłej, drugą ręką, podniesioną do góry, wyszytnioną, wykonywała jakieś zygzaki.

Odczepiono żyjącą jeszcze córkę i zwartego z nią trupa matki.

Niemieckie władze obozowe stwierdziwszy, że odczepianie trupów od drutów nastarcza więcej niż warto kłopotów, poleciły wykopać wzdłuż nich głęboką fosę. Odtąd do każdego, kto próbował się spuścić do rowu, wartownik strzelał. Wyprzedzał zamiary samobójczyni. Były jednak i w tym względzie pomyłki, bo czasem nieświadome tego rozporządzenia zapuszczały się do rowu po prostu po wodę, której brak w obozie najpotworniej odczuwałyśmy. One właśnie ginęły. A w rezultacie czy śmierć od kuli, czy z choroby, jaką niosła ze sobą brudna, śmierdząca woda z fosy — to właściwie kwestia różnicy w czasie.

Praca przy drutach spowodowała szereg wypadków porażenia śmiertelnego, zaskakując współwięźniarki nieprzygotowane do udzielenia pomocy ofierze.

Przychodziły też chwile przynoszące ulgę, radosną satysfakcję. Nasze świetlne cerbery gasły, a syreny alarmowe zawiadamiały o zbliżaniu się « obcych samolotów ». W r ó g n a s z z d r a d z a ł l ę k . Na nas wyjące na trwogę syreny sprowadzały kojącą myśl, że są jednak siły groźne dla naszego ciemiezcy, że siły te może i nam przyniosą jakąś ulgę. Może rzucią ulotki, może zniszczą obóz, może... nas uwolnią.

BARAK TRANSPORTOWY

Cały obóz już spał, kiedy przekroczyliśmy jego bramę. Niskie domki, baraki przysiadłe do ziemi tonęły w zupełnej ciemności i ciszy.

Wewnętrzna przestrzeń obozu nie była oświetlona. Szliśmy naprzód prowadzone przez otaczającą nas straż. W pełnym mroku zamajaczyły przed nami zarysy dużego baraku. Drewniane wrota, takie jak u stodoły, otworzono. Barak wewnątrz oświetlony. Weszliśmy w szyku piątkowym, formując pod jedną ze ścian czworobok. Wielka przestrzeń budynku wypełniona już była ludźmi. W tłoku rozmaitych grup, ustawionych podobnie jak my w czworoboki, rozróżniamy kolorową masę cyganek. Dalej starannie ubrane o przeważnie inteligentnych twarzach Francuzki, wyglądały jak podróżne dobrze sytuowane, lecz zmęczone oczekiwaniem na opóźniony pociąg. Czeszki zwracały uwagę swoją postawą pewną siebie i imponowały spokojem. Stulone w jednym końcu i onieśmiałe dziewczęta nie wiadomo do jakiej przynależały narodowości. Nasza polska dwutysięczna gromada przedstawiała najbardziej pstrokaty obraz. Zebraczkę w obstrzępionych łańchmanach zabrane z ulicy. W barwnych strojach cyganki. Tandelną elegancją błyszczące dziewczęta z wesołego światła. Żydówki. Kobiety wiejskie otulone w chustki. Wytworne w bogatej prezencji damy. Wreszcie tuż po nas wkraczały kobiety z transportu z Niemiec, gdzie nie tylko były same Niemki, ale i również innej narodowości dziewczęta, przeważnie karane za ucieczkę z pracy. Około 6 tysięcy kobiet, w oczekiwaniu na dalszą kolej rzeczy, śledzi każdy gest lub słowo umundurowanych SS-frauen i SS-manów, jak również kręcących

się w pasiakach więźniarek, żeby odgadnąć tajemnicę obozu.

Pozwalają nam usiąść na rozstawionych ławkach, stołkach, ceglach lub wprost na ziemi ubitego klepiska. Nie wiadomo od kogo pada rozporządzenie, żebyśmy oddały wszelki prowiant, jaki mamy ze sobą. Przechodzą poprzez szeregi Niemki, starsze więźniarki, przewracając kontrolują nasze rzeczy i zabierają jedzenie. Nie rozumiemy wprawdzie dlaczego musimy je oddać, ale na tłumaczenie i rozumienie same wiemy, że nie ma tu miejsca. Potem zrozumiałam, jak się to dzieje, że więźniarki będące na uprzywilejowanych funkcjach posiadały masę jedzenia — niekiedy smakołyków, charakterystycznych dla rozmaitych narodowości.

Noc dobiegała już końca, a była to już trzecia noc z kolei w procesie transportowania nas, i we wszystkich kątach wymęczone kobiety drzemały. Potworzyły się jak gdyby obozowiska poszczególnych narodowości. W grupie cyganek jakaś młoda kobieta zaczęła rodzić. Wijącą się w bólach położono na ziemi. Wszystkie kobiety poruszyły się. Lekarka, która się znalazła w czeskim transporcie, objęła opiekę nad położnicą. Ciepło i opanowanie, jakim promieniowała wokół jej młoda i piękna twarz, oddziaływała i na resztę nas, uspokoiła o los rodzącej cyganki. Zresztą przekonane byłyśmy, że jest to sytuacja chwilowa, dopóki personel sanitarny nie przeniesie pacjentki na noszach do szpitala. Wydawało się nam, że za chwilę jakaś odpowiedzialna pomoc szpitalna roztoczy nad chorą opiekę. Wyniosłyśmy ze stosunków ludzkich to proste przekonanie, że w takim momencie zostawia się wszystkie inne sprawy i instynktownie prawie udziela się pomocy człowiekowi czy zwierzęciu.

Tymczasem oczekiwanych noszy ciągle nie widać. Zaczęło to dziwić, ale ciągle tkwiąc w kategoriach pojęć humanitarnych w jakich nas wychowano, każda sobie tłumaczyła rzecz zaistnieniem niezwykłych przeszkód. Pytamy kręcące się służbowe, starsze więźniarki o powód

opieszalności w przetransportowaniu chorej do szpitala. Padają różne odpowiedzi : « Nie ma czasu ». « Przecież to dla niej wszystko jedno, gdzie urodzi ». « Ona stąd teraz wyjść nie może przed przeprowadzeniem ich wszystkich przez biuro rejestracyjne. » Pada także niejasne, niepokojące nas stwierdzenie : « To wszystko jedno ». Nie rozumiemy nic. Któraś już z naszych kobiet powtarza, że z Cyganami w obozie dzieje się coś złego. Nic jeszcze nie wiemy, ale postawione pytanie otworło drogę do naszego serca wielkiemu niepokojowi.

Tu i tam zawiązały się rozmowy międzynarodowe; skąd, za co, dlaczego przywieziono was do obozu. Przeważająca ilość odpowiedzi ta sama : « Nie wiem za co ». « Za nic. » Niekiedy daje się słyszeć : « W okolicy zabili Niemca ». « W naszym mieście pociąg się wykoleił » itd. Pytam się co wy macie z tym wspólnego? Odpowiadają : Nic. « Zbiorowa odpowiedzialność ». Niemcy na swój przewrotny sposób i tu wykoślawili piękną społeczną ideę : Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich.

Zainteresowanie położną cyganką ustąpiło innym. Minęła noc. Przyszedł dzień. Około południa przyniesiono w kotłach zupę i ziemniaki gotowane w łupinach, t. zw. pelki. Ograbione z naszych zapasów, głodne, stajemy po raz pierwszy w ogonku do kotła. Zupa. Badyłe niedogotowanego jarmużu, twarde jak patyki, wystają z miski. Brunatno-zielony kolor nie zachęcał, a zapach wręcz odrzucał. Co robić? « Pelki », które nam wprost podano na dłoń, obrawszy w palcach, zjadłyśmy, ale do zjedzenia zupy trudno się zmusić. Moja towarzyszka niedoli, docentka Uniwersytetu Krakowskiego na wydziale medycyny, odpowiada na moje pytające spojrzenie : « Jedz i musisz jeść, nie wolno nam zdechnąć z głodu ». Trzeba było się przemóc, choć patyki badyla stają w gardle, a wspomnienie smaku i zapachu dziś jeszcze wstrząsa odruchem wstrętu.

W bloku transportowym pojawiają się SS-frauen. Przeważnie młode, zdrowe dziewczki, w szarych mundurach,

w długich z cholewami butach. Przeliczają poszczególne grupy, notują, szeregują według liter alfabetu, komendują. Spośród nich jedna przewija się poprzez naszą grupę. Zbliżyła się do poszczególnych kobiet, mówi po polsku. Otaczamy ją kołem. Polskie słowo w ustach wrogiego policjanta. Dopytuje się o to, o tamto. Dźwięk polskiego słowa przytępia czającą się w każdej nieufność. Prosimy ją, aby nam powiedziała coś o obozie. « Zobaczycie, zobaczycie, ja tu jestem jak matka wasza ». Jakaś nieśmiała nadzieja wstępuje w serce, to przecież także « kobieta, matka lub żona... i ja kobieta ». Zjednała nas. Rozmawia tu i tam. Słucham jak mówi: « Masz ładny z brylantem pierścionek, daj mi, ja ci go przechowam. Tu i tak musisz oddać wszystko ». Kobiety pościagały obrączki, pierścionki, kolczyki, pieniądze, podawały swoje nazwiska, « oddały w depozyt » z zaufaniem. Jedna z moich współtowarzyszek radzi się mnie, co robić z drogocenną broszką. Nie wiem. Sama nie wiem, jak zachować moją ukochaną obrączkę i pamiątkowy pierścionek mojego męża z datą jego urodzin. Postanowiłam dobrowolnie nie rozstawać się z drogimi pamiątkami.

Ale przedzierzgnięta w matkę SS-frau interesuje się nie tylko złotem, którego zebrała pełne kieszenie; ofiaruje się « przechować » kosztowny kołnierz jednej z koleżanek. A kiedy ta zawahała się, dostała odpowiedź: « Na cóż ci to, już tego i tak nie będziesz potrzebowała ». Więziarka głośno myśli: « Jakto nie będę potrzebowała; wiem przecież, że tu dostanę inne ubranie; ale przecież..., jak będę wracała do domu... » Z ust niemieckiej matkującej nam SS-frau spłynął uśmiech. Odeszła dalej.

Spojrzeniami zapytałyśmy się wzajemnie: « Co to znaczy?... » Zrozumiałyśmy: hiena! Do mnie zwabiła ją moja piękna skórzana teczka, która wywołała słowa wielkiej ochoty posiadania. Musiałam użyć całej siły, żeby nie kopnąć niemieckie plugastwo w uniformie. Posiadałam jeszcze naturalny instynkt życia. Nie chciałam się czuć ścierwem, około którego krąży już hieny.

Przez szpary we wrotach ktoś zawołał z zewnątrz : to nadbiegłe dziewczęta więźniarki, ściągnięte wiadomością o nowym transporcie z Krakowa. Rozpoznajemy się. Rzuciłam dręczące pytanie : jak jest tutaj? Padła prosta nieowijana w bawełnę odpowiedź : « Tu grób ». A za nią cały szereg cytowanych nazwisk osób, które w kilka tygodni przede mną wyjechały z więzienia do obozu, a teraz już nie żyły. Odczułam nagle straszliwe zmęczenie. Nie miałam siły już dłużej rozmawiać. Nadeszła czwarta bezsenna noc.

Wreszcie z bloku zaczęto odprowadzać grupy po 50 kobiet, uszeregowane w kolejności liter nazwisk.

Szłyśmy na postrzyżyny.

POSTRZYŻYNY

« Schreibstuben », czyli biura rejestracyjne, gdzie każdą uwięzioną wpisywano do kartoteki, pracowały dzień i noc. Zatrudnione starsze więźniarki pod nadzorem SS-manów, wypełniały rejestry, gdzie notowano, obok personaliów, adres, na który aresztowana będzie chciała pisać listy. Masowe transporty ludzi do obozu przekraczały wielokrotnie środki administracyjno-biurowe komendy obozu. Dlatego musiałyśmy czekać przez dwie noce i dwa dni na swoją kolejkę, by zostać uprawnionym « Häftlingiem » i przejść proces immatrykulacji. Biuralistki, starsze nasze koleżanki, upadały ze znużenia.

Izba, gdzie pracował sekretariat, stanowiła ostatnie ogniwo w drodze, która prowadziła od baraku transportowego do wejścia na teren obozu. A tymczasem, wchodząc do t.zw. Waschraumu, przez okna widzimy tłum nagich kobiet, siedzących na schodkowanych ławkach jakiejś niedużej sali. Uderza w oczy ich dziwny wygląd — wszystkie ostrzyżone tak, że z początku odnosi się wrażenie jakby siedziała grupa mężczyzn.

Zaczęłyśmy i my wchodzić w tryby maszyny, która produkowała « umundurowane » więźniarki. Z natłoczonego kobietami korytarza przechodzi się pojedynczo do salki, gdzie stoi szereg stolików z urzędującymi więźniarkami. Pierwsza z urzędujących odbiera do « depozytu » złote zegarki i pieniądze. Trzeba wszystko oddać. Popatrzyłam w jej oczy, które tchnęły prostą uczciwością. Spytałam się czy naprawdę muszę oddać. Nic bardziej kosztownego nie miałam, ale drogiej sercu obrączki, która stała się dla mnie podwójnym symbolem, nie chciałam nikomu powierzyć. Odpowiedziano mi, że oddać

muszę. Za posiadanie złotych przedmiotów karzą więźniów śmiercią. Poza tym uspokajano mnie, że przecież oddają to tylko w depozyt, na co jestem zobowiązana podpisać odpowiednie pokwitowanie. Rozstałam się z jedynymi przedmiotami, jakie wiązały mnie z osobistym moim życiem. Odebrano mi ten waziutki a najsérdeczniejszy odcinek, gdzie zdawało się, że bezczelna i bezwzględna obca stopa przemocą nie wkroczy. Ułożenie własnej wszystkiej odzieży przechodziło już mechanicznie. Nie obudziło we mnie oporu, ale pozostawiało zdziwienie odbieranie drobniagów nieodzownych dla cywilizowanego człowieka. Ręczniki, chusteczki do nosa, lekarstwa, grzebienie i inne środki higieniczne również musiałyśmy zostawić. Oczywiście przedmioty te były tak nieodzowne, że zostawiając je, przypuszczałam, że potrzebne nam rzeczy dostaniemy w swoim czasie z powrotem.

A jednak okazało się później, że nawet poziom życia domowego zwierzęcia stał się odtąd dla nas niedościgłym marzeniem.

Pies, koń, krowa, które się czyści i którym daje się suchy kąt do spania, które się karmi, nie bije bez potrzeby, choć muszą pracować, w porównaniu z losem naszym w obozie — żyją wspaniale.

«Uwolnione ze wszystkich rzeczy» oddanych w depozyt, siadłyśmy nagie pod ręką jednej również z więźniarek dla obcięcia włosów.

Setki, tysiące kobiet wychodzą z pod nożyczek. Jest zmęczona, ręka jej ustaje. Nie jest zdolna równo obciąć włosów, choć obcina przy samej skórze głowy. Zostają jakieś kosmyki, które przekształciły sylwetkę w groteskę. Toteż, gdy już każda z nas tak «gotowa» przechodziła do izby w części kąpielowej, gdzie uzupełniała cyfrę kolejną do 150, komiczny wygląd znanej przedtem osoby czynił ją tak różną od siebie, że odruch śmiechu był niepohamowany.

Na drodze spychania nas na dno egzystencji, między jedną męką poniżenia, a drugą, był to etap, kiedy śmiałyśmy

się z własnej niedoli. Później musiałyśmy walczyć z obrzydzeniem do siebie.

Obozowe zabiegi higieniczne zaczęły się od siedzenia przez pół godziny w parówce, po której wpędzono nas pod lodowate prysznice. Oczywiście na niewylarte ciało, bo ręczniki nam odebrano, wkładamy rozdzieloną bieliznę. Mnie dostała się jakaś koszula szarego koloru, która zdawało mi się, że była szyta ciemnymi niciami. Wtedy niezdolna byłam przypuszczać, że to nie są szare nici, ale ścieg po prostu gnid. Wydaje się to nieprawdopodobnie — tak jak i mnie wtedy — a jednak prawdziwe.

Rozdano swetry w podobnym stanie, a na to wreszcie mundur obozowy: grubą, twardą suknię w pasy niebiesko-szare, zakiet taki sam, zwany « jaką » (od niemieckiego « Jacke »), szmatę jako chustkę na głowę, pończoszki, które kiedyś były cienkie, eleganckie, a dziś drachy, drewniane trepy, tak zwane holenderskie. Oczywiście biustniki, paski do pończoch, które oddałyśmy, znikły jako luksus, o którym marzyło się później miesiącami, żeby zdobyć. Podtrzymywane sznurkiem pończochy były powodem nieraz porządnego kopniaka od szefa lub postena SS, gdy w kolumnie idąc do pracy, próbowało się opuszczone pończochy podciągnąć.

Ostatni wreszcie akt « pasowania » na więźniarki koncentracyjnego obozu w Oświęcimiu. Na lewym przedramieniu został wytatuowany numer, zastępujący odłąd imię i nazwisko. Jednostka, jej przeszłość przestały istnieć. Zaczynał się inny byt, gdzie byłam numerem 32292.

NASZE MIESZKANIE — BLOKI

Mijała już czwarta noc od wyprowadzenia nas z celi więziennej i przez cały ten czas procesu « transportowania » aż do włożenia sukni obozowej trwałyśmy w ciągłym napięciu naszej świadomości. Przechodzenie przez szereg stopni, szereg kręgów, zacieśniających nas w kleszcze obozu, trzymało naszą uwagę nabitą, jak na sztylet.

Ale siła organizmu i zdolność przyjmowania wrażeń mają, na szczęście, granice. Wszelka pobudliwość ustąpiła jednej potrzebie — snu. Wszystko stało się obojętnym, łącznie z własnym losem, byle tylko położyć się i usnąć.

Wreszcie umundurowane już wyprowadzono nas z fabryki produkującej « kobiety-numery ». Prowadzą nas do bloku. Słowo tajemnicze blok splata się z ideą snu, z tęsknotą do odpoczynku, z obrazem domu. Blok — słowo obiecujące, podlatuje, unosi się nad całą kolumną. Powtarzane jest przez wszystkie.

Wreszcie jest i... blok. Otworzyła się przed nami czarna czeluść nieprzenikniona. Nie odróżnia się żadnych konturów. Ustawiono nas przed jakąś płaszczyzną z desek, na które trzeba się wspinać. Prowadzone instynktem i dotykiem wdrapałyśmy się na rusztowanie z ruchomą powierzchnią desek.

Tu się spi... Zapelniamy ciasno przestrzeń jedna przy drugiej. Pokuliłyśmy się siedząc, tuląc się i ogrzewając wzajemnie. Siedzimy na gołych deskach bez przykrycia wszelkiego i w nieprzeniknionej ciemności. Odczuwamy straszliwe zimno. Obrane z naszej prywatnej odzieży : ciepłej bielizny, biustników, pasków, pończoch, swetrów, płaszców, z ostrzyżonymi głowami zostałyśmy w cienkiej koszuli,

sukienice i pojedynczym, krótkim zakiecie obozowym. Wszystkie drżyny z zimna, dzwoniąc zębami.

Jest właśnie 28 styczeń.

Tak spędzoną pierwszą noc w baraku, zwanym powszechnie blokiem, uważamy za stan tymczasowy. Oczywiście o spaniu nie było mowy. Czekały już znowu z utęsknieniem dnia. Ale noc jeszcze kompletna i bekszałta była, kiedy rozległy się gwizdki i nawoływania « aufstehen ».

Światła nie ma. Dowiadujemy się, że bloki są zupełnie nieoświetlone. Zaczyna się ruch i gwar jak w ulu.

Słychać głosy kobiet w rozmaitych językach : polski, francuski, czeski, rosyjski, o rozmaitej dynamice i zabarwieniu uczuciowym. Tu i ówdzie zamajaczyły blaski zapalonych świeczek. Niewiele w tym oświetleniu jeszcze widać, ale rozróżnia się wielką przestrzeń baraku podzieloną na trzypiętrowe rusztowania z desek, z których jedno na drugim rozciągało się na wysokości jednego metra. Ze wszystkich płaszczyzn wygrzebują się ludzie jak z klatek. Barak podobny do dużej szopy długości około 80 metrów, szerokiej 10 metrów. Bez sufitu, pokryty bezpośrednio dachem. Zamiast podłogi glina klepiska wyłożona nierównymi ceglami. Blok pomyślany był z jak największą ekonomią przestrzeni do spania. Całe wnętrze wypełnione trzypiętrowym rusztowaniem rozciągniętym wzdłuż ścian, jak również przez środek baraku, szeregi poszczególnych koi oddzielone od siebie były wąskim zaledwie przejściem. Poprzeczne belki od góry do dołu dzieliły całą długość na klatki. Rozmiar każdej klatki na szerokość i w głąb wynosił około 2 metry; wysokość około jednego metra.

Każda taka klatka, którą nazywano « koją », musiała pomieścić 5 do 7 kobiet, a gniotło się niekiedy w niej dzieiwięć i więcej. Właściwie przestrzeni na względnie swobodne ułożenie ciała, żeby nie poszturchiwać sąsiadki, kiedy się chce przewrócić z boku na bok — było najwyżej na trzy. Na płaszczyźnie 4 metrów kwadratowych nie łatwo

jest pomieścić więcej. A jednak bloki, które musiały pomieścić 800 do 1000 osób, natłoczone były ludźmi tak, że na koję przypadało po 7, 8 kobiet.

Nadto najniższe piętro do spania było bezpośrednio na ceglanej podłodze i do koji wchodziło się wprost jak do budy. Legowisko było na mokrych ceglach i zupełnie bez powietrza. Piętro najwyższe sięgało dachu, przez który przenikała woda w zimie a w lecie rozpalone cementowe płyty paliły głowę. Będąc w pozycji leżącej, niemal dotykało się dachu. Za posłanie służyły papierowe sienniki ze żdźbłem wiórów. Na koję przypadało najwyżej po 3 sienniki i po kocu dla każdej.

Ale były bloki, gdzie nie dawano zupełnie sienników, tak jak np. 26. blok, gdzie mieszkały Francuzki. Toteż na tym bloku w ciągu trzech miesięcy umarło 1.800 kobiet.

Przez długie miesiące w barakach nie było żadnego oświetlenia. Starsze więźniarki znanymi już tylko sobie drogami zdobywały gdzieś świece, które na tak dużą przestrzeń baraku, migotliwym światłem zaledwie pozwalały rozróżnić kontury wnętrza.

Na najwyższą koję wchodziło się wspinając po niższych kojach jak po szczeblach. Ciasnota ogromna. Ciemno. Znajdywanie swojej koji i wchodzenie do niej odbywa się dosłownie po głowach innych. Na wąskim pasku posłania musi się zorganizować całe osobiste życie, które zredukowało się do jedzenia i spania. Jedzenie i zwierzczenie ubranie, jeśli się je zdejmowało, w nocy musiało się trzymać dosłownie pod sobą, bo w natłoku i ciemności zagubić było niezwykle łatwo, ale odnaleźć niepodobna. Najwięcej kłopotu sprawiało uchronienie każdej nocy trepów. Zabłoczone, których nie można wytrzeć ani umyć, musiało się je trzymać na posłaniu, nadto obawa, by przez pomyłkę nie został choćby jeden wymieniony, spędzała sen z oczu. Mieć wymieniony trep nie do pary, to znaczy nie móc go włożyć na nogę, to znaczy w konsekwencji zostać boso, a w dalszej kolej, albo wyjść boso na ranny apel,

lub nie wyjść wcale, co w obydwu wypadkach kończyło się śmiercią.

Ciemność w baraku dla nas panowała stale, bo przychodziłyśmy z pracy o zmroku a wstawałyśmy zawsze na długo przed wschodem słońca.

Atmosferę współkoleżeńską panującą na bloku w takich warunkach można tylko wyobrazić sobie mając w pamięci, że byłyśmy ludźmi trójwymiarowymi a nie duchami niematerialnymi. Jak się poruszać, ubierać, rozbierać, jeść, spać, w ogóle — żyć w kompletnej ciemności i ciasnocie? Nastąpić na nogę, kopnąć w głowę, schodząc lub wchodząc na koję, stracić na koce miskę z kawą, zamienić trep, którego dotykiem dłoni nie rozróżni się — tego nie unikniesz. Zmęczone i wyczerpane, cierpliwość wszystkie miały ograniczoną, wobec czego w bloku panowała stale atmosfera silnego zdenerwowania. Żeby zrozumieć mękę dnia codziennego trzeba się postawić w te warunki tak ułożone, żeby każda chwila obrzydzała sam fakt życia.

Po trudzie całego dnia, deszczu, zinnie, błocie pobyt w baraku nie można nazwać odpoczynkiem, ale drugą męką.

W baraku nie ma miejsca, gdzieby stanąć, położyć coś lub usiąść; są tylko wąskie przejścia i miejsca do spania. Mokrego ubrania nie można ani położyć ani rozwiesić. Musi zostać na sobie lub pod sobą.

Wąski pasek, który się nazywa twoim miejscem, określa i ogranicza wszystkie poruszenia, zamyka twoje dobro, którym są łach odzieży i jedzenie, jakie dostało się. Przy tym uwaga jest stale napięta, żeby nie potrącić koleżanki, kawałków odzieży nie pogubić. W baraku, oczywiście, gdzie można mówić tylko o koi, jako o miejscu, do którego się ma jakieś prawo, nie wolno nic wstawić, nie wolno też wprowadzić nic posiadać, ale łyżkę i miskę czy ręcznik, który jakimś cudem się zdobyło, musi się nosić w połe.

W zimie barak mało chronił od zimna, ale za to w lecie powietrze w nim gorące, przesycone potem ludzkim, zgęszczone i stłoczone rozpalonym dachem dławilo, zatykało oddech, rozżarzonymi szczypcami paliło skronie. Po upalnym dniu noc w baraku była większą męką niż trud i praca w dzień. Przy pracy było powietrze, w nocy zaś dusiliśmy się dosłownie.

B Ł O T O

Z pierwszego rzutu oka obóz robi wrażenie dysproporcji pomiędzy zewnętrznym jego wyglądem a nędzą, która uderza po przejściu bramy. Otoczenie kamiennych wysokich słupów z żarzącymi światłami, z rozpiętymi kolczastymi drutami, wysokie wieżyczki strażnicze uderzają starannością wykonania, sugerują widzowi wrażenie porządku. Tymczasem wewnątrz obozu narzuca wyglądem swym obraz straszliwej nędzy. Od punktu wejścia do obozu, to znaczy od bramy ciągnie się wzdłuż całego obozu uliczka, która jest główną arterią obozu, t. zw. « Lagerstrasse ». Tu się formują kolumny pracy, tedy wyruszają do zajęć poza bramę, tu jest główna linia apelu. Jest to najbardziej niebezpieczne miejsce w całym obozie. Tędy przechodzą władze: SS-mani, SS-frauen. W każdej chwili grozi przechodzącej oberwanie kijem przez głowę lub kulakiem w twarz, nie zawsze z wiadomego powodu. Więźniarki unikają przechodzenia tedy jak ognia, kiedy idą dla własnej potrzeby.

« Lagerstrasse » jest cośkolwiek wybrukowana, ma grunt kamienny, noga przechodniowi nie zapada się po kostki w glinie jak jest poza tym w całym obozie, niemniej błoto gęstej mazi grubą warstwą rozpryskuje się spod stóp. Po obydwu stronach « Lagerstrasse » ciągną się trzema szeregami baraki. Nędzne, niskie, z przekrzywionymi dachami, z nierówną linią drzwi i małych okienek, przysiadły na ziemi jak cygańskie budy. Wszystkie jednakie, wszystkie szarobrązowe, wszystkie odrażające. Poszczególne szeregi baraków oddzielone są od siebie ciasną przestrzenią 5-6 metrów.

Przez wąskie dróżki odchodzące od « Lagerstrasse » i przez środek bocznych uliczek ciągną się rozkopane rowy, z których wyrzucona ziemia tworzy łańcuchy grobli. Oczywiście żadnych kładek poprzez te fosy nie ma. Dla skomunikowania się z sąsiednimi barakami trzeba wykonywać skoki. Nic niby strasznego, ale gdy się weźmie pod uwagę, że cały obóz tonie w grząskiej bez dna glinie, że obuwie nasze to ciężkie, drewniane trepy, oblepione tłustym iłem, z którego trudno wyciągać pudami ciężące stopy, to się zrozumie, że każdy ruch, do którego zmuszały nas rozkazy czy własne potrzeby, był trudem ogromnym dla osłabionych naszych organizmów. Po przyjsciu z pracy iść do ustępu, po wodę, czy do innych bloków, by spotkać koleżankę — to wysiłek przechodzący nasze siły i zdolność przełamania się. Wprawdzie ustępy były czwartym, ostatnim szeregiem bloków leżących od baraków mieszkalnych na tej samej odległości, która dzieliła poszczególne bloki, niemniej przedostanie się do niego — to uciążliwa wyprawa, toteż dużo na nią się nie zdobywało, załatwiając się po drodze.

Początkowo widok ten mierzył nas nowoprzybyłe. Mialiśmy jeszcze w sobie fizyczne siły z wolności. Ale później...

Później zrozumialiśmy. Schorowane, gdy tygodniami nie mogły nic jeść, gdy tyfusy brzuszne były powszechną epidemią, poprzeciębiane pęcherze, popuchnięte nogi; z pracy wracały z największą męką, zmoczone i zziębnięte — to poznałam wtedy, że najmniejszy dodatkowy wysiłek jest niemal bohaterstwem.

A ustępy...

W pierwszych dniach obóz, pomieszczenie, rozkopane rowy, błoto, kupy śmieci górami leżące za blokami przerażały mnie potwornym brudem. Nieład, niesłychany bałagan zrobił wrażenie braku wszelkiej organizacji, niedołężności kierowniczej komendy lagru. Zdawało mi się, że to musi się zmienić, że zorganizujemy się, że wystąpimy z wnioskiem i prośbą do władz obozowych, abysmy razem same

mogły teren obozu uporządkować. Przypomniałam sobie, jak z własnej inicjatywy, własnymi rękami budowałyśmy w otwartym polu, w lesie harcerskie obozy, jakie powstawały urzędnienia wspaniałe. Czemu by tutaj nie można było tego zrobić? ! Tyle kobiet, tyle rąk do pracy! Zaczęłam w tym sensie rozmawiać z dawniej przybyłymi więźniarkami; w głębi duszy miałam do nich żal i urazę, że nie pomyślały o tym dotychczas, że biernie przyjmowały to, co wstrząsa obrzydzeniem. Jeszcze nie rozumiałam sensu niemieckiego koncentracyjnego obozu. Ustępy obozowe uświadomiły go.

Ustęp — to ciągnący się przez środek całego bloku szeroki rów. Żerdź cienka dzieliła rów na dwie części. Jaki cel miała stale brudna oczywiście żerdź, nie wiem do dzisiaj. Rów zawsze obstąpiony był z obydwu stron... Tyłami niemal stykano się. Wypadki wzajemnego pobrudzenia — nierzadkie.

I tu zrozumiałam! Zrozumiałam, że nie bałagan, że nie brak organizacji, ale wręcz przeciwnie — świadoma, przemyślana « idea » kierowała władzami obozu w urządzaniu warunków lagru.

Z wyroku ich mamy ginąć we własnym brudzie, utopić się w błocie, obmazać własnym kałem, splugawić swą godność ludzką, zejść do bytu dzikiego zwierzęcia, nasiąknąć wstrętem i pogardą dla samego siebie i otoczenia — oto CEL — IDEA !

Niemcy doskonale z tego zdawali sobie sprawę, że my same nie jesteśmy zdolne patrzeć na siebie bez obrzydzenia. Żeby zadać śmierć człowiekowi w obozie nie musi się go zabijać — wystarczy kopnąć, by upadł w błoto. Upaść to jest jednoznaczne ze zginąć. Z ziemi nie podnosi się już człowiek, ale stwora jakaś śmieszna, kosmata z błota. Znający się na humorze SS-mani skoro tylko ujrzeli chwiejącą się postać, która z trudem wyciągała nogi z bagnistej gliny drózek lagrowych, natychmiast jednym kopnięciem zanurzali ją w czarnej lepiącej się mazi. Podnieść się samemu nie ma siły, pomóc

nikt nie potrafi. Toteż każdego dnia, kiedy kolumny wyruszały do pracy, zawsze po kilka i kilkanaście słabszych — pozostawało w błocie.

Podnieść się, oprąć, oczyścić, obmyć — to przecież takie proste, prawda? A jednak nieprawda. Wszystko w obozie jest urządzone tak, aby to uniemożliwić. Nie można się oprąć — nie ma gdzie, nie ma czym, nie ma kiedy, nie można się oczyścić, nie można się obmyć. Można tylko pozostać na Lagerstrasse w błocie, skąd specjalna kolumna wybiera upadłe i poskłada na jedną kupę trupów, choć jeszcze żywe.

Nigdy nie zapomnę obrazu, kiedy raz byłam w obozie męskim, jak podniesionego z ziemi mężczyznę, inni więźniowie wlekli przez drogę, ciągnąc za nogi. Reszta ciała wraz z głową, oblepiona błotem, ryła szeroką brózdę w czarnej mazi.

Gdybyś go takim widziała, matko lub żono, swe dziecko, swe kochanie, swe szczęście — cóż byś rzekła tym, którzy dziś prawią o miłosierdziu, wielkoduszności wobec pokonanego « Herrenvolku »?

Przyrzekaliśmy sobie z przyjaciółką, jako najwyższy dowód wzajemnego oddania, że nie pozostawimy jedna drugiej umierającej w błocie. Nieprawdopodobne, co? — żeby podanie upadającemu człowiekowi ręki było dowodem najwyższym przyjaźni — a jednak tak. Dźwigać kogoś z błota — to znaczy zaryzykować, że się z nim w błocie zostanie. SS-mani, nasi panowie jednak bili i szczuli psami chore, jak i te, które zostawały, które je dźwigały, jeżeli nie nadszyły w drodze za kolumną maszerującą z pracy lub do pracy.

Błoto — to tło naszego życia, to cel i sens naszej pracy w obozie; całą bagnistą okolicę Oświęcimia, czterdzieści kilometrów w promieniu przekopaliśmy rowami. W oświęcimskie pola i bagna wsiąkły siły tysięcy, tysięcy kobiet.

W oświęcimskim błocie, na którym postawiono nasze baraki, zakopano — bez przenośni — dwanaście tysięcy jeńców sowieckich, którzy przed nami mieli tam obóz.

W O D A

Już piąty dzień jestem w obozie, rozglądam się wszędzie, nigdzie nie widzę ani studni na wodę, ani kranu, ani miejsca, gdzie rano i wieczorem szłyby kobiety myć się. W baraku nic też podobnego do takich urządzeń nie ma. Patrzę z odrazą na swoje brudne ręce, które przez te kilka dni myłam śniegiem. Tego dnia nie jestem zdolna już i takiego zabiegu ryzykować, bo śnieg zlodowaciały kaleczy mi ręce, nie mam czym ich wytrzeć — nie mam rękawiczek. Jesteśmy ciągle zajęte, ciągle w masie tych samych przybyłych ze mną kobiet. One tak samo jak ja nie orientują się w urządzeniu obozu. Zresztą tyle innych potrzeb dręczy spadłych na nas hurmem: głód, zimno, niewyspanie, nieludzkie wymęczenie — tak że potrzeba mycia się odsuwa się na dalszy plan. Wreszcie schwyciłam więźniarkę, którą oceniłam jako starszą i obeznaną ze środowiskiem lagrowym i spytałam — jak, gdzie i kiedy można się tutaj myć. Popatrzyła na mnie, pełna zdziwienia, uśmiechnęła się i odrzekła: « zobaczysz sama ».

Na własną zatem rękę trzeba dalej czynić po obozie poszukiwania. Ale kiedy to zrobić? Rano ciemno jeszcze kiedy wstajemy, a słońce dopiero wschodzi, gdy idziemy już do pracy; wieczorem, kiedy wracamy, również i słońce zapada, wchodzimy w mrok bloku, gdzie jeszcze z godzinę trzeba czekać w ogonku na zupe i kolację.

Niedziela przecież będzie tym razem wolna od pracy — wtedy dowiem się, gdzie jest woda do mycia. Wreszcie i niedziela, i wolna chwila pomiędzy apelami. Wyszłam przed barak. Grupkami pokúcały kobiety i śniegiem czyszczą miski, inne naczepały wody z rowu ciągnącego

się tuż obok baraku i myją ręce, naczynia i wycierają twarze. Śniegu jest już nie wiele. Zresztą, nie wiadomo jakie brudy pokrywa, a woda w rowie zielona, smrodliwa, ohydna. Naturalna kanalizacja lagru — gdzie wszystkie brudy ściekają — i tę wodę biorą kobiety do mycia naczyń.

Śnieg mniej odraża; zbliżam się do grupki Francuzek, które odgarniają wierzchnią warstwę, szukając czystsze-
go śniegu. Zrobiłam to samo. Wdałam się w rozmowę, w której stwierdziłyśmy, że Niemcy dają nam szkołę ich reklamowanej czystości, a tymczasem żadna z nas nie potrafiła określić, skąd właściwie bierze się wodę, w rezultacie do gotowania też potrzebną. Ostatecznie wskazano mi wodę.

Budynek, a właściwie ustęp i obok, kran z wodą, która ściekała w dół kloaczny. To wszystko!

Tu jest ustęp dla Niemek — więźniarek; tu jest jedyna woda do mycia, picia, do gotowania!

W obozie jest około 14.000 kobiet!

W ustępie, przedsionku, wokoło budynku stłoczone kobiety, z garnczkami, miskami i dzbankami próbują się dostać do jedynego kranu z wodą. Ja też stanęłam. Zastanowiło mnie, że raz po raz wrzeszcząc po niemiecku jakaś więźniarka bije inną więźniarkę i szturchańcami oraz kopaniem wyrzuca ją za drzwi budynku. Dopytuję się co to znaczy i dowiaduję się, że ustęp ten i woda są tylko dla Niemek. Żydówki nie mają tu prawa wstępu, a inne « aryjki » w miarę jak ustąpią miejsca Niemkom, które oczywiście wchodzą omijając kolejkę.

Woda jest tylko dla wyższej rasy.

Mało jest nadziei, że przed następnym apelem dotłoczę się do wody, niemniej cierpliwie czekam. Niedziela — jedyna okazja, żeby trochę się umyć. Wyrzucone z « Wasch-raumu » Żydówki zebrzą o parę kropel wody u tych szczęśliwych, którym udało się napełnić wodą naczynie. Jestem jeszcze zdrowa. Pragnę się umyć — luksus, a tymczasem wokoło mnie kobiety spragnione picia, ze spalonymi

gorączką ustami, mają popękane i spuchnięte wargi, oczy rozszerzone, błyszczące — oczy chorych. Nie mają siły stać. Zwracają się do innych, proponując chleb swój w zamian za przyniesienie kubka wody.

Pragnienie dręczy wszystkie od pierwszej chwili, od pierwszej miski zupy, przesyconej saletrą. Przydział kwaterki kawy czy ziółek (napar z ziół) wieczorem jest niewystarczający. Wiele bloków, a zwłaszcza żydowskie w ogóle nie dostawały picia wieczorem. Nieszczęsne obstępują bloki, zaczepiają w przejściach, pragną « kupić » za wszelką możliwą dla nich cenę trochę napoju. Oddają wszystko, jedzenie za trochę wody.

Wody, którą z takim trudem zdobyłam po długim czasie tłoczenia się w ogonku, nie mogę donieść do baraku. Spragnione żebrzą. Tłumaczę, że nie wolno pić tej wody, mam w oczach napis nad kranem: woda nie do picia; mam w pamięci zakopanych w tej ziemi 12 tysięcy trupów jeńców sowieckich; czuję odrażający zapach niesionej wody i wreszcie sama czuję się brudna i jedyna okazja do obmycia się stracona znowu na długi tydzień — a jednak nie potrafi się odmówić.

Pragnienie jest powszechną udręką nawet wtedy, kiedy nie ma się gorączki. Jedzenie przesycone saletrą pali wnętrzności. Spalone usta, spalone jelita pieką jak żar ognia.

W drodze do pracy, czy z pracy, towarzyszy jedyna myśl, która wybiega naprzód do zapamiętanych rowków, czy dołów, gdzie jest woda. Oczywiście wystąpienie z kolumny jest niedozwolone. Strażnicy zabraniają, krzyczą, biją i szczują psami, a mimo to kobiety trzymają w pogotowiu swoje naczynia, żeby w marszu zdążyć wykonać odskok, pochylić się i naczepnąć wody. Ile policzków, kopnięć, ukaszeń przez psy spadnie na ludzi, tego się nawet nie policzy. A mimo to każdego dnia i za każdym razem, skoro w kierunku marszu jest woda, ta sama historia powtarza się.

Umiera się z podsyconego sztucznie pragnienia. Cóż

można w tych warunkach mówić o zaspokojeniu potrzeby mycia. Przechodzą dnie i tygodnie; w otoczeniu błota, odpadków, wydzielin. Ręce szare, twarze bezbarwne, oczy zaropiałe, całe ciało swędzi. Pokaleczone kobiety się drapią. Smród niemytych ciał zatyka nozdrza.

Jest nas tysiące. W ciasnej przestrzeni baraku — setka jedna przy drugiej.

Przypuszczałam dotychczas, że obóz koncentracyjny jest karą przez odosobnienie; odebranie wolności, ciężką pracę, nędzne życie. Poznałam więzienie przecież. A tymczasem koncentracyjny lagier niemiecki — to coś innego — to nie to pierwsze; to — powolne, a niechybne umieranie. To co w obozie wydawało mi się początkowo niedbalstwem — to było perwersją, to co robiło wrażenie bałaganu — było premedytacją, to co zdawało się być nieudolnością — było wyrafinowaniem. Cały talent niemieckiej dokładności, całą zwyrodniałą kulturę germańskiego ducha, całą brutalną bezwzględność hitlerowską włożono w organizację koncentracyjnego obozu. Tam nie było nic przypadkowego, było wszystko świadome — celowe.

Wreszcie pojęłam, odkryłam, zrozumiałam!

Zrozumiałam istotę obozu — systematycznie, powoli zdychać.

Do tego momentu spadające jeden za drugim ciosy, utrata ludzi najbliższych w więzieniu zdawały się zacierać sens borykania się. Coraz trudniej było podźwignąć się, podnieść się, spojrzeć przed siebie. I w tym momencie, kiedy przejrzałam przewodnią myśl niemieckich bandytów, ocknęłam się. A zatem ginąć — to wypełniać z a m i e r z e n i a w r o g a, to wypełniać ich plany.

O nie! Właśnie nie!

Poczułam nakaz, by żyć. Obowiązek wobec tych, co odeszli, wobec tych co zostali i czekają na nas na wolności.

Obowiązek wobec wielkiej, świętej sprawy mojej.

Przejęłam testament moich drogich przyjaciół i nauczycieli.

Muszę żyć; muszę wydobyć wszystkie moje siły, by wbrew wszystkiemu nie zdechnąć. A zatem, nawet jeśli tutaj umrę — to umrę jak człowiek, zachowam swoją godność. Nie zdechnę jak zwierzę, budzące pogardę i odrazę; nie stanę się bydlakiem, jak chce tego dokonać wróg mój.

I rozpoczęła się straszna zażarta walka, na każdym kroku, w najrozmaitszej postaci, nieustępliwa w dzień i w nocy. Od momentu, o którym wspomniałam, aż do momentu, kiedy sprężoną wolą rzucili się do ucieczki w wodę. Ustać w walce — to znaczyło załamać się; skapitulować — znaczyło przegrać — zginąć.

A zatem — zamierzeniem wroga jest, by zżarł nas brud — trzeba więc myć się.

Każdego dnia 20 kilometrów drogi w ciężkich drewnianych trepach, 12 godzin przy łopacie, 17 godzin na nogach. Po powrocie z pracy szliśmy gromadką po wodę do tego jedyne go kranu, jaki był, z miską do jedzenia, by umyć się. Znajdywałyśmy kąt w ustępie i polewając szmatę wodą — myłyśmy się.

W S Z Y

W obozie nie ma pralni, gdzie by zbiorowo prano białiznę więźniarek. O indywidualnym praniu nie ma mowy. Bielizny po prostu nie pierze się. Przydzielana białizna pochodzi z tych ofiar, którym już jest niepotrzebna.

Już wspomniałam poprzednio, że koszula jaką dostałam zrobiła na mnie wrażenie, że jest szyta szarymi niciami, dopiero koleżanka, z którą mieszkaliśmy na koi, uświadomiła mi, że to nie nici ani supełki, ale gnidy, sznureczkiem przylepione wzdłuż szwów koszuli. Dużo czasu straciłam, nim szczyrątkiem i paznokciami oczyściłam jako tako moją koszulę. Miałam wielkie szczęście, bo na koi mieszkaliśmy z koleżankami, które podobnie jak ja usiłowały walczyć z brudem i wszami. Nawet pomagały mi czynem i radą. Niestety jednak okazji do przejścia wszy od innych było więcej niż możliwości obrania się z nich. Przy apelu, w marszu, w tłoku ogonków za jedzeniem, wodą — każdego dnia nieuchronnie łapało się po kilka wszy. Nie macie pojęcia jak człowiek jest bezbronny wobec przebiegłości i naporu wszy. Nie tylko wtedy, kiedy ukąszeniem niesie tyfus, śmierć, ale wtedy kiedy dniem, nocą drażni skórę, nie daje spać; kiedy puchną oczy z braku snu, kiedy ciało w ranach rozorane i ropiejące.

Tysiące, tysiące kobiet, które zginęły w Oświęcimiu, zabite zostały przez wszy. Tyfus plamisty, na który chorowały prawie wszystkie kobiety, był pod względem ilości pochłoniętych ofiar drugą z kolei zarazą, panującą w obozie.

Wobec wszy byliśmy naprawdę bezradni i bezbronni. Barak nieoświetlony. Wychodzi się jeszcze w nocy na

apel, wraca się w nocy także. Kiedy, gdzie i jak się tu obrać z męczących pasożytów?

Oczywiście czeka się na niedzielę — na krótką chwilę dnia wolną od apelu. Wtedy umyć się i obrać z wszy będzie można. Trzeba dobrze się zorganizować, by tej okazji jedynej nie stracić. Na koi lub przed blokiem kobiety rozbierają się i przeglądają odzież.

Zdrowe kobiety wyzyskiwały każdą sposobną okoliczność do przejrzenia odzieży. Dla siebie w ciągu dnia nigdy nie miałyśmy czasu, chociaż całymi długimi godzinami trawiłyśmy go stojąc na apelach dwa razy dziennie. Ale zrozumiałe, «dostojeństwo» apelu z takim zabiegiem nie godziło się. Wiele kobiet poświęcało na to godzinną przerwę w pracy, przeznaczoną na obiad.

Dziwny przedstawiałyśmy obraz. Znacznie później już — po ucieczce — widziałam afisze, pokazujące więźnia w obozach niemieckich: siedzi sobie za drutami pod barakiem na ławeczce i... patrzy.

Przyjacielu, artysto — ty nie wiesz, co tam z twego brata lub siostry usiłowano zrobić. Obraz tej masy iskających się niewiast nasuwał nieodparcie podobieństwo... do małp. A jednak to były matki, żony, dziewczęta — ludzie toczący zażartą walkę o swe człowieczeństwo w najpotworniejszych warunkach.

Jaki los w takich warunkach mają chore, które leżą po trzy, cztery w łóżku? Wszy są wszędzie; nie tylko w ostrzyżonych, na szczęście twierdzą, włosach, ale w brwiach. Koce, według wyrażenia jednej chorej, utkane były wszami. Trudno pojąć — a to wszystko prawda.

Bielizny nie zmieniano nigdy, nigdy się jej nie prało. Natomiast były t. zw. odwszenia. Co trzy miesiące brano odzież z wszystkich ludzi z baraku, koce, sienniki do gazowania. W międzyczasie kobiety szły do parówki, następnie pod tusze, jeśli była woda, a zdarzało się, że i bez mycia dostawały z powrotem swoją odzież więcej jeszcze wybrudzoną, śmierdzącą gazem i rozgrzanym potem. W miarę możliwości wymykały się kobiety z tego procederu,

ponieważ rezultat często był odwrotny od zamierzeń tych, którzy organizowali odwszenia. Gaz był za słaby, wszy nie zawsze zabijał, a gnidom z reguły nie szkodził. Nadto te, które mniej miały pasożytów dostawały od innych więcej, a przy tym tyle było upokorzeń, wystawiania nago w zimie, bicia kijami przez SS-manów, trzymających porządek, toteż nic dziwnego, że odwszenia uważałyśmy za jedną więcej z udręk w mizernym naszym losie.

Nie można powiedzieć, żeby Niemcy o bieliznie nie myśleli. Owszem. Całe auta, całe pociągi odchodziły do Niemiec wspaniałej bielizny, wspaniałej odzieży, która pozostawała po ofiarach. Na miejscu t. zw. « efekty », pełne czystutkiej, posegregowanej bielizny.

Z okazji jakiejś wizyty wyższych władz SS przeglądano magazyny z bielizną. Trudno wiedzieć dla kogo była przewidziana ta bielizna. Że nie dla nas wprost — to pewne. Wprost nie dla nas, ale « bokiem » była i dla nas też. Po prostu kradliśmy z magazynów bieliznę. Nazywałyśmy tę kradzież znanym terminem — « organizacją ». « Organizacja » nas ratowała. Oczywiście kraść mogły te, które w danym resorcie pracowały. One, kochane efekciarki, wbrew zakazom, rewizjom, biciom, mimo skazywań na karną kolumnę t. zw. Straf-kolumnę organizowały i przynosiły innym. Koleżanki zaopatrywały koleżanki; od nie-koleżanek można było za chleb czy inny prowiant bieliznę kupić. Zrozumiałe jest, że tą drogą nie wszystkie i niedostatecznie mogłyśmy się w bieliznę zaopatrzyć, nie mniej był to jedyny sposób, który, w tej tragicznej sytuacji ratował nas. Brudną bieliznę, choć niekiedy nowiuteńką i ładną wrzucało się do ustępu, bo... wody do prania nie było.

Nie zapomnę nigdy, Ciebie Janko — nauczycielko ludowa, Ciebie Saluś — maglarko z Krakowa, kiedy przychodziłyście późnym wieczorem, nocą właściwie, przynosząc zorganizowaną ciepłą koszulę, skarpetki dla mnie i dla innych. Od pierwszej chwili myślałyście o tym, żeby przygotować coś dla nas, które później miałyśmy

przyjechać. Dzięki Wam, dzielne «organizatorki», nie udało się Niemcom nas wszystkich wytepić.

Zasadniczo nie wolno nam było nic więcej posiadać poza parą bielizny, którą miałyśmy na sobie. Nic nie wolno było zostawić na koi, nic więcej mieć przy sobie. Rewizje, bicia, kary, konfiskowanie stałe nas prześladowały. Wychowywano nas «w cnocie wyrzeczenia i ubóstwa».

Unikałyśmy spotkań z wszelkimi władzami, czując się zawsze zagrożone, zawsze niepewne, skąd, jak i za co cios spadnie. Ponieważ nic na koi nie można było zostawić, zatem całe «zorganizowane» dobro nosiło się ze sobą w woreczku, w lagrowym «bojtelku», na apel, do pracy, wszędzie. Niestety nie długo cieszyłyśmy się zorganizowanym ręcznikiem, chustką do nosa itd., bo przy ciągłych rewizjach całe dobro nasze przepadało. Nieposłuszne, niepoprawne, niepokonane na nowo wyzbywamy się jedzenia, na nowo zabiegi, by zdobyć znowu potrzebne nam rzeczy. I tak w kółko. Niekiedy zdawało mi się, że Niemcy w naszej nieustępliwości, w naszym niepoprawnym «organizowaniu» ciągle na nowo czuli się bezradni. My natomiast nigdy chwili pewności, nigdy poczucia bezpieczeństwa, ni na apelu, ni w pracy, ni w marszu. Zawsze pod okiem, zawsze pod grozą kija. Po ucieczce z transportu, kiedy już wyszłam z wody z pod kryjącego mnie mostu — ogarnęło mnie przede wszystkim zdziwienie, że idę, idę sama i nikt z mną nie stoi z karabinem, czy kijem.

Zawsze myślałyśmy o tym w Oświęcimiu, czy potrafimy kiedyś wyzwolić się z tego wiecznego lęku, czy potrafimy znaleźć siebie, wyzwolić w sobie wolnego człowieka!

A P E L

W Oświęcimiu nie przestawałyśmy nigdy czuć krępujących nas więzów, ale ucisk oków najsilniej dawał nam odczuć się na apelach.

Apel to była zbiórka blokami wszystkich ludzi, uszeregowanych w piątki dla przeliczenia i sprawdzenia stanu obecnych. Tak było pozornie, a naprawdę to była największa katorga. Niemcy to dobrze wiedzieli, toteż apel stosowano jako dyscyplinę, która nie tylko fizycznie nas niszczyła, ale i moralnie wypruwała z wszelkiej woli, z wszelkiej zdolności oporu.

Apel — to słowo, które zrywało na nogi wszystkie zdrowe, chore i umierające. Na apelu musiały być wszystkie obecne; nie istniało usprawiedliwienie, które by zwalniało z apelu. Jeśli komuś zdarzyło się nie przyjść na apel — to była osoba na pewno ciężko chora fizycznie lub umysłowo. Nie kończył się apel, dopóki nie znaleziono brakującej. Zainteresowane byłyśmy wszystkie, żeby liczba w apelu zgadzała się, bo w przeciwnym razie przedłużała się męka oczekiwania i stania w szeregu. Jeśli brakowało kogoś rozbiegali się SS-mani i « Aufseherinnen » i szukali ofiary, a znalazłszy prowadzili lub wlekli tryumfalnie przy akompaniamencie bicia i kopania. Odnalezienie zapowiadało bliski koniec apelu, toteż przychodziła ulga, chociaż wiedziałyśmy, że znaleziona idzie na 25-ty blok, na śmierć.

Każdego dnia, latem o trzeciej, a zimą o czwartej, zrywała na nogi ranna pobudka. W godzinę rozdzielanie kawy czarnej, czy melki (wody zatrzepanej mąką) a potem ustawienie do apelu do piątej.

Ciemno jest jeszcze zawsze i zimą i latem. Gwiazdy, niekiedy księżyc, błoto, deszcz, wiatr, śnieg czy mróz — wszystko jedno. Idziemy na apel. Niechętnie, ociągając się, bo wiemy, że nie wybierzemy sobie miejsca suchszego pod nogi do stania. Trzeba stać w miejscu, które ci przypadnie, choć błoto przelewać ci się będzie wierzchem trepów, choć woda wsiąkać ci będzie do środka, choć nogi kołoczyć będą z zimna i bólu — musisz stać w miejscu. Zimno, wiatr, deszcz przejmują cię do kości — musisz stać. Czekasz, nie wiesz na co — czekasz bez końca, skuta w sztyk piątki, wgnieciona w kolumnę pięciuset, czy ośmiuset podobnych do ciebie ofiar — stoisz. Niekiedy już nie możesz wytrzymać, chcesz już z tym skończyć, ruszyć się z miejsca, pójść naprzód rzucić się z pięściami na katów, iść — na wszystko, na druty, na koniec, na śmierć, byle ruszyć z miejsca, wyjść z szeregu, skończyć, za wszelką cenę skończyć!

Reflektujesz się... i... stoisz.

W obozie krążyła pieśń, ułożona nie wiadomo przez kogo :

*« Nad Oświęcimiem słońce wschodzi
Różową smugą jasną.
Stoiemy w rzędzie starzy i młodzi
Nad nami gwiazdy gasną.
I tak stoimy co dzień,
W pogodę i słotę
I tylko widać na twarzach wielu
Rozpacz, ból i tęsknotę. »*

Stojąc na apelu jedna przy drugiej, grzejemy się własnym ciałem, wykonujemy wszelkie ruchy, by rozgrzać się, nie skołoczyć na śmierć. Zdrowym ciężko stać, a chore upadają. Zdrowe po apelu natychmiast wyruszą do pracy, chore, które się nie podniosą, pójdą na 25-ty blok. Nie wiadomo, co myśli człowiek, kiedy umiera, ale zdaje mi się, że wiem co myślała kobieta, która konała przy mnie na apelu : « dobrze, że to się już kończy ».

Była młoda, o pięknej twarzy i przedziwny, choć bolesny spokój malował jej lica.

Ja do obozu przyjechałam w trzeciej dekadzie stycznia 1943 roku. Był mróz. Była to niedziela kiedy przeżyłam pierwszy apel, który trwał 5 godzin; zwolniono nas na obiad, a po obiedzie znowu 3 godziny. Rozebrane z ciepłych własnych rzeczy, przez cały dzień przestałyśmy w jednym miejscu na dworze. Toteż 5 lutego 1943 roku, kiedy przyszła na apel «specjalna komisja» i zwróciła się z propozycją, że jeśli są wśród nas chore, słabe, starsze, które chcą się leczyć, żeby wystąpiły, wiele kobiet ufnie wyszło i... poszły się «leczyć» na 25-ty blok, odprowadzone germańskim uśmiechem. Skończyły się dla nich apele, skończyła się męka.

Według historii Oświęcimia była to pierwsza wśród kobiet selekcja, pierwszy wybór na śmierć, pierwsze dziesiątkowanie na apelu. Przedtem dziesiątkowania były, ale w blokach ciężko chorych. Od tego dnia selekcje na apelach powtarzały się często.

Obok zwykłych dwa razy dziennie apelów były t. zw. generalne apele. Zdaje mi się, że były specjalnie zarządzane przez czynniki wyższe, które przyjeżdżały wtedy na miejsce do obozu. Pierwszy generalny apel przeżyłam w lutym 1943 r. Zaskoczył nas; mój blok właśnie był na odwszeniu. Już oddałyśmy odzież do gazowania i byłyśmy w parówce, kiedy nagle padł rozkaz: wychodzić. Pośpiech, gorączka, gwałt. Okładając nas kijami, porzucili nam odzież oczywiście bez porządku i numerów. Pośpiech, gorączka, gwałt. Okładając nas kijami, pochwytałyśmy kawałki rozmaite odzieży i, w pół lub wcale nieubrane, wyrzucono nas z bloku na dwór, gdzie czekała generalicja SS. Generalny apel.

Cały obóz, z wyjątkiem rewiru, kolumnami wyprowadzono za obóz. Liczenie, przeliczanie, sprawdzanie. Na rewirze selekcja. Przed 25 - tym blokiem ładują na ciężarowe auta kobiety. Auta odjeżdżają i wracają z powrotem. Nad kominami krematoriów płomienie. Auta

krażą tam i z powrotem. Minęło już południe, druga, trzecia, czwarta godzina. Stoimy ciągle — czekamy.

Wreszcie kolumny szykują się do odejścia do obozu. Na polu generalnego apelu już wiele pozbierać się z ziemi nie może i zostają.

Nas w bramie wejściowej do lagru ustawiają w pojedynczy szereg i polecają biec. Która nie może — bo nogi skołczyły z zimna lub po chorobie, albo też są starsze i odmawiają posłuszeństwa — idzie na 25-ty blok.

Ile wtedy odeszło, ile wtedy według rachunków panów z Berlina odejść musiało — nie wiemy. Nieznane nam były buchalterie «bydłem oświecimskim», prowadzone przez wysokie czynniki stanu państwa niemieckiego. Na podstawie cyfr codziennego apelu, które za każdym razem komenda obozu musiała telefonicznie meldować, prowadzono gospodarkę przychodu i rozchodu.

Wróciliśmy do baraku po całym dosłownie dniu stania bez jedzenia, na zimnie, ale żadnej z nas tego dnia jeść się nie chciało. Rozejrzałyśmy się pomiędzy sobą: do tej koi nie wróciła ta blondynka mająca około trzydziestu paru lat, bo miała spuchnięte nogi po tyfusie. Do tamtej — pani z Kielc, której tusza była przeszkodą. Do mojej sąsiedniej — ta starsza profesorka muzyki. Nie wróciła również ta młoda dziewczyna, która po śmierci matki załamała się psychicznie i tak stała się bezwolna, że nie potrafiła obrać się z wszy, które rojami chodziły do niej. Nie przyszła również matka Zosi, 40-tu paru lat kobieta, bo miała nogę sztywną w kolanie, po zabiegu operacyjnym dokonanym jeszcze w domu itd., itd.

W baraku zrobiło się luźno.

Ręce opadły.

Jaki sens jest walczyć o wodę, z wszami, z brudem, o swój kark wyprostowany, kiedy wiemy, że dziś one, jutro, pojutrze... my — w masie kilkunastu tysięcy — a bezbronne; silne — że łamałybyśmy wszystkie przeszkody — bezwolne.

Ręce z bólu gryźć chce się — ale dalej walczyć odpada ochota.

Wtedy jedna tylko miała odwagę i siłę. Pani Tosia skoczyła na swoją koję i krzyknęła: «Kobiety, Polki! Nie upadajcie! Za nami Prawda i Siła. My tego dnia nie zapomnimy nigdy. Ten dzień pomszczą nasi bracia, za ten dzień historia bierze odpowiedzialność wypłaty należnej katom naszym... Kobiety Polki — podnieście się. Niech wróg nie widzi waszego bólu. Zaciśnijcie pięści i trwajcie»...

Podniosłyśmy głowy. Płakałyśmy wszystkie. Ze łzami przyszła ulga.

Było jeszcze wiele innych apelów, których nie zapomnę nigdy.

Było to po próbie ucieczki z pracy jednej kobiety. Wracałyśmy z pola nocą, bo czekałyśmy na miejscu rezultatów poszukiwań. Przegnano nas 10 kilometrów przez trzęsawisko, gdzie wielu poginęły trepy, zostały boso. Mimo nocy, na naszą kolumnę czekały przy bramie wszystkie władze obozu, cała masa SS-manów i SS-frauen. Wiedziałyśmy, że nie przejdzie nam bezkarnie ten wypadek. Ustawiono kolumnę, złożoną z 500 kobiet pod 25. blokiem. Zbudzono cały obóz na apel. Przygotowane byłyśmy na wszystko. Czy za winę, czy i bez winy i tak płaciłyśmy dziesięcinę ofiar w ludziach naszych. Odliczono, przeliczono, notowano, a myśmy musiały stać. Poza nami cały dzień od czwartej godziny pobudki, poprzez apel ranny, marsz, pracę, przegnanie przez błoto, pogubione buty — a my stoimy.

Łuty, wiatr ze śniegiem przechodzi falami i zacina. Nie czujemy już nawet dla ciała ochrony odzieży. Zimno świdruje kości i wiatr smaga skórę. Próbujemy się skupić, stulić i trochę ochronić. Wtedy pilnujące nas SS-frauen rozstawiły kolumnę na rozpiętość ramion ze wszystkich stron...

Minuty, sekundy, godziny odliczane miarą naszych ostatnich kropel sił rozciągnęły się w niekończącą się wieczność. Aufzejerki jeśli dostrzegą, że któraś na nogach

się słania, wyciągają ją z szeregu i... zadają ćwiczenia gimnastyczne.

Druty elektryczne świecą tym razem pociągająco i blisko.

Poszłam myślą do Ciebie, Mój Najdroższy Przyjacielu, któryś padł nieugięty, prosząc byś zdjął z ramion moich brzemię życia, bo ciężar odpowiedzialności za nie jest ponad moje siły. Ktoś podparł mnie ramieniem.

Blisko nad ranem apel się skończył.

A były inne apele t. zw. «Zell - Appel». Spośród kolumn wyruszających w pole zostawały gromadki do pracy na terenie obozu. Ochotniczek do zostania na terenie lagru było więcej niż tego wymagała potrzeba, bo przecież wśród baraków zawsze łatwiej schronić się od deszczu i zimna niż w polu. Ale Niemcy znaleźli na nasze wybiegi skuteczny sposób. Urządzano w południe apel. Jeśli było więcej kobiet niż powinno było zostać, przechodziła przez kolumny komendantka i przeprowadzała selekcję. Trzymała w ręku laskę i zakrąglonym jej końcem wyciągała za szyję z szeregu tę, na którą padło jej oko, którą wskazała jej fantazja. Poprzez rzędy pozostałe, przesuwając się wzdłuż Lagerälteste, starsza rangą więźniarka, grubym kijem grzmociła wszystkie po kolei. Głowy trzaskały, w uszach robiło się głucho, oczy przysłaniały się opuchliną. Ruszyć się nie można — trzeba stać. Apel trwa.

Niedzielę myśmy też święcili uroczystość, jak przystało na święto. Odbywał się uroczysty apel. Przychodziła komisja i przeprowadzała selekcję we wszystkich kolumnach a przede wszystkim w żydowskich. Chodzili wyciągając ofiary swoje za szyję laskami. Przeważnie kierowano się mizernym, wyniszczonym wyglądem, toteż kobiety za plecami komisji szczypały policzki, by ich martwocie dodać ochronnej barwy życia.

« ARBEIT MACHT FREI »

Taki napis widniał na głównej bramie koncentracyjnego obozu w Oświęcimiu.

Taki sam piękny szyld jak wszystkie inne niemieckiej produkcji propagandowej, które pokrywały fałszem i kłamstwem prawdziwą, potworną rzeczywistość.

Wspomniałam już jakim zdumieniem przejął mnie obraz narzucającej się pracy, potrzebnej w urzędzeniu obozu. Zdawało mi się, że praca sama podchodzi mi pod ręce, a moje ręce rwą się do niej. Skanalizowanie obozu, wybrukowanie ulic, wywiezienie i uprzątnięcie śmietnisk. itd., itd.

Tymczasem niezadługo poznałam « twórczą » pracę w niemieckim obozie i jej sens.

Zaraz po apelu o godzinie 6 latem, a zimą o godz. 7 w lagrowym szyku po 5 wyruszają kolumny poza druty w pole do pracy. Z kotłowiska, z roju ludzi formują się oddziały po kilkaset kobiet.

Aryjki w pasiastych luźnych sukniach, chustkach na głowie, trepach na nogach niosą miski do jedzenia pod pachą, mają łyżki zatknięte na piersiach w dziurkę guzika od sukni. Żydówki ubrane w męskie drelichy wojskowe pozostałe po wytępionych jeńcach sowieckich. Ubrania żydówek bądź wojskowe, bądź cywilne łachy mają na plecach wymalowane krzyże farbą pokostową.

U wszystkich więźniarek na lewej piersi widnieje biała szmatka z numerem kolejnym, który wytatuowany jest również na lewym przedramieniu.

Już na kilkanaście kroków od bramy stoją aufzejerki, przeważnie Niemki, z kijami w ręku i pilnują porządku

i równego kroku maszerujących w takt wykrzykiwanego :
l i n k s , l i n k s !

Maszerują, poganiane kijem, ofiary niemieckiej kultury, ofiary zwycięskiego « Herrenvolku », ofiary bandytów germańskich.

W bramie SS-frauen przeliczają szeregi, pomagając sobie laską. Jeśli nienadążające w utrzymaniu rytmu opóźniają się i łamią linię rzędów, wtedy laski łamią się na ich plecach i głowach.

Tu przed bramą czekają już strażnicy SS tzw. posteni z psami. Psy wyrrywając się ze smyczy, ciągną z otwartymi kłami i piekielnym ujadaniem do wychodzących w kolumnach kobiet.

Uwaga nasza wyteżona, napięty lęk, by nie zgubić nogi, nie stracić trepa, nie dostać kijem przez głowę, nie podpaść psu pod zęby. Tu przed bramą główną na podwyższeniu komendanci obozu z wypiętą dumnie piersią, wyniosłym spojrzeniem przyjmują defiladę nędzarek. Tu przed nimi maszeruje pokonana Europa : Polki, Francuzki, Rosjanki, Jugosłowianki, Holenderki, Belgijki, Greczynki; tutaj także dochodzą « szefowie » — kierownicy pracy, wszyscy SS-mani. Na szosie oświęcimskiej ciągnie się długi bez końca korowód tysięcy, tysięcy kobiet-więźniarek, idących do pracy.

Do roboty muszą wyjść wszystkie; chore również, bo na rewir, czyli do baraków szpitalnych przyjmowane są tylko te, które mają ponad 39 stopni gorączki. Toteż wloką się w kolumnie kobiety takie, które trzeba ciągnąć pod ramiona. Najgorzej jest z tymi, które wyszły z rewiru po tyfusie. Organizm wycieńczony, nogi opuchnięte i dotknięte niedowładem, ale ponieważ gorączki nie ma, przeleżała kilka tygodni na rewirze, jest już oficjalnie zdrowa, zatem musi iść do pracy. Zostać w baraku nie wolno. Taki jest rozkaz i blokowe, kierowniczeki baraków, więźniarki również, oczywiście mianowane z góry, trzymają się ściśle przepisów. Ale wiemy, że przepisy mogą być też elastyczne, dlatego nieszczęsne chore błagają blokową

o przechowanie ich gdzieś w baraku. Są też wyjątki jaworyzowane, ale dla większości, szarej masy, względów nie ma. Nie zapomnę nigdy obrazu, jak jakaś starowina, klęcząc z wyciągniętymi w górę ramionami błagała blokową o pozostawienie w baraku. Znana na cały obóz z dzikiego okrucieństwa blokowa odpowiadała klęczącej pięściami po twarzy. Zmuszanie biciem kobiet do pójścia w pole było codziennym rannym pacierzem.

Każdy barak obowiązany był do wystawienia określonej cyfry robotnic, bez uwzględnienia stanu ich zdrowia. Odległość od obozu do punktu pracy wynosiła 10 km. w jedną stronę. Mordują się piekielnie chore, męczą się z nimi i zdrowe, które je ciągną pod ręce, dźwigają. Chora opóźnić marszu nie może, ani zostać z tyłu, bo wtedy szef i posteni kopią ją i szczują psem. Jeśli która upadnie i nie może się podnieść to SS-mani dokopią ją butami na śmierć. Trupy z pola nie uciekną, zostać mogą bez postena, a wracająca z pracy kolumna je pozbiera i przydźwiga do lagru. Trup z kolumną wrócić musi, bo liczba powracających musi się zgadzać. Każdego dnia, za każdą prawie kolumną powracającą dźwigają na noszach 3 lub 4 trupy. Powrót kolumn w bramy lagru wita obozowa orkiestra. W takt melodii lekkiej, marszowej, ciągnie kondukt, wloką się cienie istot ludzkich z brzemieniem trupów współtowarzyszy niedoli.

Jak strasznie nienawidzimy muzyki!

Do pracy w pole wyruszają kolumny codzienne bez względu na pogodę. Od godz. 6 do 18 w lecie, zimą od 7 do 16. W zimie zupełną obiadową dostajemy po powrocie z pola, a zatem pracujemy zupełnie bez jedzenia, bo trudno liczyć ranną kawę czarną, bez cukru, bez chleba, za śniadanie!

Otóż jakże naiwny był mój zapal, kiedy chciałam organizować naszymi siłami pracę w urzędzeniu obozu. Kupy śnieci leżały, w błocie topiliśmy się, a tymczasem kilkuset osobowa kolumna ma za zadanie z odległości kilku kilometrów od obozu przynieść po 2, 3 cegły w

rękach i wrzucić w obozie do rozkopanych drenażowych fos. Kiedy wędrówka taka powtórzy się kilka razy dziennie, kiedy po kilku dniach fosy są już wypełnione ceglami, wtedy zadaniem naszym jest powyciągać cegły z powrotem, poskładać je na kupy. Do wypróżnionych fos wrzucamy znowu duże głazy, po które ta sama wędrówka kilka kilometrów, by obciążone nimi krążyć cały dzień tam i z powrotem. Po jakimś czasie wyciąga się je znowu i tak toczy się kółko, wypruwa z nas siły i miele nas fizycznie i psychicznie na proch.

Przesypywanie śniegu z miejsca na miejsce także należało do zadań przy których teżały nam nogi, ręce kostniały na mrozie kilkunastu stopni. Wiele kobiet poddmrażało twarze i kończyny, a «dzieło twórcze» dokonywało się. Wobec takich zajęć lubiliśmy wprost robotę przy kopaniu rowów. Wprawdzie łopaty ciężkie, ręce zrywają się, często stoi się w błocie i w wodzie, ale przecież jest widoczny jakiś efekt. Cała przestrzeń koncentracyjnego obozu rozległa na 40 km. w promieniu pokryta jest mokradłami i błotami. Toteż głównym zadaniem wszystkich kolumn jest kopanie rowów drenażowych. Najcięższa była praca na bagnach. Nogi zapadają się powyżej kostek w błoto, łopaty oblepione gliną trudno podnieść, wydobyte błoto przenosi się na tragach w odleglejsze miejsca. Nawet wtedy, kiedy przechodzi się po względnie suchszym miejscu, złośliwy posten popchnie lub nastawi swego psa tak, że zmusi cię, abyś nogi miała mokre do kolan. Nogi stale mokre. W zimie obok kopania rowów pracowałyśmy przy rozbiórce domów w okolicznych wioskach, z których wysiedlono ludność. Ciężkim kilofem rozbijamy mury. Ręce mdleją, krzyż pęka, brzuch boli.

Wolałyśmy już letnie prace przy uprawie ziemi i przy żniwach, choć były znojne i dłuższy był dzień, ale nie niszczyły tak organizmu. Pracami kierowali specjaliści szefowie — SS-mani. Zadaniem ich było rozdzielić robotę, pilnować jej właściwego wykonania. Ale szefowie właściwie byli panami życia i śmierci. Nie wiem czy

SS-mani mieli jakieś ograniczenia w dowolności traktowania nas i gospodarzenia naszym życiem.

Pewnego razu posadzono dwie kobiety o zamiar ucieczki. Najpierw rozprawił się szef z jedną ofiarą: zbił ją, strącał butami, aż krwią umazane miał cholewy, spuścił na nią psa, który szarpał ciało w kawałki. Wszystko dokonywało się na oczach całej kolumny, gwoźli nauce dla nas.

Następnie polecił jej iść wzdłuż szeregów i mówić, że tak się karze te, które chcą uciekać. Nieszczęsna wlokła się i krzyczała, że w domu zostawiła czworo dzieci, że chce do nich wrócić, że nieprawdą jest, jakoby próbowała ucieczki. Pozwolono jej jeszcze pomęczyć się kilka godzin, a potem odejść parę kroków, na odległość których padły strzały. Z drugą ofiarą powtórzyła się ta sama historia. Ale scenę przewleczono na cały dzień, aby nerwom naszym dać wzruszeń do syta, a naukę wbić dobrze w pamięć. Tego dnia niosłyśmy do obozu o dwa trupy więcej. Nie wiem, czy istotnie te kobiety zamierały uciekać, ale pozorować jakiś powód dla dania upustu żądy krwi i nienawiści, zawsze można. Innym razem szef po prostu zabawił się. Był to młody 20-letni szczeniak, który Polakom zawdzięczał swoją powykrecaną po wystrzale dłoń; junkierskie plemię, inteligent. Chciał sobie przypomnieć czy jeszcze dobrze strzela. Posłał więźnia na znaczną odległość po rower swój i strzelił do człowieka, kładąc go trupem na miejscu.

Niemcy nie lubili bić mało. Kiedy bili, wyzwalala się w nich potworna zjadłość, dawali upust swej mocy panowania, swej świadomości teutońskiego narodu panów. Ofiara z ich rąk wychodziła zawsze mało żywa. Nigdy nie mogłam pojąć, że mężczyzna wielki na dwa metry, barczysty jak niedźwiedź, potrafi własnymi rękami bić wątłą, mizerną, niekiedy dziecięcą postać kobiety.

Jeszcze w sierpniu 1944 r. tuż przed wyjazdem na transport miało to miejsce. Młody również szef nie mógł sobie dać rady z policzeniem kolumny. Ulewa była wielka,

deszcz lał jak z cebra, zaczął bić kijem jedną po drugiej a wreszcie kazał klęknąć na drodze w błocie z podniesionymi rękami. Sam uciekł schronić się pod dach. A myśmy, klęcząc z wyciągniętymi w górę ramionami przysięgały zemstę! Uszargane do pasa, zmoczone do cna, bo przez podniesienie rąk w górę woda z ramion ściekała jak korytkiem za koszulę; wiele kobiet płakało, myślę, że nie z bólu, ale z bezsilnej wściekłości.

Zabić pięściami, zakopać, zastrzelić więźniarkę zależało tylko od samowoli i fantazji szefa, który tym był lepszy, im podlejszy.

Szefowie przy pracy do pomocy mieli wyznaczone więźniarki, przeważnie Niemki. Były to funkcje anwajzerki (doglądających pracę) i « kapo », odpowiedzialne za robotę. « Kapo » z żółtą opaską na ramieniu miały do dyspozycji anwajzerki. Nie musi się dopowiadać, że na funkcje te dobierano odpowiednie typy. Rozstawione co kilkanaście kroków wzdłuż pracującej kolumny pilnowały, żeby żadna nie stała. Nie wolno na chwilę odgiąć krzyża, ani na chwilę ulżyć rękom. Musi się człowiek stale poruszać, bo anwajzerki na swoim odcinku wszystko widzą i ciągle wrzeszczą: « Bewegen sich, bewegen sich ». Jeśli nie posłucha, anwajzerka ma kij w rękę, którego nie oszczędza. Nadto, żeby już ciągle nie słyszeć nad głową tego jazgotu psiego pilnujących nas, stale się poruszamy. O tym, żeby odpocząć dłuższą chwilę lub usiąść, nie ma mowy, chyba że anwajzerka odejdzie ogrzać się do ogniska lub gdzie indziej.

Anwajzerka zresztą sama obawia się szefa, a poza tym wygodne stanowisko też nie jest do odrzucenia. Cały dzień nie pracuje się, można się poruszać, ugrzać przy ogniu, dostać lepsze jedzenie, nie mówiąc już o samym zadowoleniu ambicji i innych ubocznych względach.

Anwajzerkę czy « kapo » można było przekupić, uzyskać lepszą pracę, nie posłała wtedy na odcinek większego błota itd. Ale na ogół, jeśli ktoś zasadniczo nie miał skrupułów to i tak proceder przekupywania też

się nie opłacił, bo zachłanność Niemek nie uległa od wieków zmianie i była, jak mówi Mickiewicz: « On zawsze głodny choć pożarł tak wiele, na naszą resztę rozdziera gardziele ».

Ale anwajzerki nie zawsze o coś prosiły: jak chciały, same brały też, wypłacając się uderzeniem w twarz.

Obok pracy w polu, poprzez którą musiały przejść absolutnie wszystkie więźniarki, (był to staż obowiązkowy) były prace, które uważane były za złejsze. Była to zwłaszcza praca przy segregowaniu rzeczy po ofiarach krematorium. Różnego rodzaju magazyny, t. zw. « efekty ». Bielizna, odzież, buty, pościel a przede wszystkim złoto.

Pod kontrolą anwajzerek, « kapo » i szefów, kobiety układały paczki ubrań zależnie od rodzajów, gatunków, wielkości w ogromne stosy. To były właściwie niemieckie fabryki odzieżowe, skąd rząd niemiecki zaopatrywał ludność swoją.

Stąd również i my drogą « organizacji » dostawałyśmy bieliznę na zmianę i uzupełniałyśmy niedostateczną z przydziału odzież. Za « organizację » odzieży były rozmaite kary, ale za « organizację » złota — przeważnie kara śmierci. Nam złoto nie było potrzebne. Ale jeśli ktoś chciał, mógł kupić złoto za chleb, tłuszcz lub innego rodzaju jedzenie.

Ludzie przywozili w walizkach nie tylko ubranie i złoto, ale paczki z jedzeniem, lekarstwem i t. d. Toteż w podziemnym życiu obozu w ramach « organizacji » było tyle rozmaitych rzeczy, o jakich naszym szefom się nie śniło. Na tej drodze można było zorganizować nawet zastrzyki przeciw tyfusowi plamistemu, których sami Niemcy nie mieli i zdychali na tyfus, zarażeni naszymi wszami.

Z czasem w okolicach obozu powstały fabryki amunicji, gumy sztucznej, tkalnie i punkt ciężkości pracy z pola przeniósł się do fabryk. Dla nas trudno wiedzieć, która praca była lepsza; wprawdzie w fabryce pod dachem

było się osłoniętym od działania pogody, ale za to 12 godzin bez powietrza, o nędznym pożywieniu, nie wyłączając niedziel.

Poza tym były prace już uprzywilejowane : w biurach obozowych, magazynach, na rewirze. Na te stanowiska dostawały się tylko osoby w pewnym sensie kwalifikowane.

Administracja był do dział, w którym pracujące więźniarki zajmowały bardzo ważne funkcje w organizacji życia wewnętrznego. Dobór pochodził z mianowania pod kątem interesów władz lagrowych.

Szary tłum pracował motyką, łopatą, kilofem.

A hasło wywieszone na bramie zmodyfikowałyśmy, nadając mu istotny sens, odpowiadający prawdzie naszego życia :

*« Arbeit macht frei,
Krematorium eins, zwei, drei. »*

Ś W I Ę T A

Niedziele i święta były wytchnieniem, ale nie dla nas, bo chociaż nie wychodziłyśmy przeważnie w pole, to jednak tak potrafiiono nam czas wypełnić i urozmaicić, że dla siebie niewiele z czasu dnia nam pozostało. Wstawało się o godzinę później niż normalnie. Całe przedpołudnie przestałyśmy na apelu, który tego dnia do samej męki nieruchomego stania, dodawał jeszcze katusze procederu selekcyjonowania. W niedzielę odbywały się najbardziej liczne, masowe przebiezki na śmierć.

Grupka z 3, 4 osób SS-manów i SS-frauen przeglądała każdą kolumnę, każdy szereg po szeregu, twarz po twarzy i która bardziej bledsza, bardziej wymizerowana dostawała znak odejścia na bok lub została łaską wyciągnięta za kark z szeregu.

Jedną ze wskazanych płakały, niekiedy nawet krzyczały i opierały się wyjściu z szeregu, ale przeważna ilość szła milcząc, godnie.

Dlaczego odchodziły tak spokojnie, mając pełną świadomość co je czeka? Myślę, że była to rezygnacja, którą dawno przyjęły, jako jedyne nastawienie.

Wiele z nich zupełnie nawet niezmiyszanych, nam pozostałym patrzyły w oczy, żegnały; niekiedy nawet podnosiły rękę na pożegnanie, zdawały się mówić: My dziś — jutro wy.

Są ludzie żądni emocji, którzy biegną, by zobaczyć oblicze skazańca przed śmiercią; myśmy oglądały je co niedzielę, niemal co dzień.

Z procederem przebiezki związana jest nieodłącznie długa postać SS-mana Taube, który dla nas stał się sym-

bolem dzikiego okrucieństwa pruskiego. Był to wszechmocny gospodarz 25-go bloku.

Po tak «uroczystym» apelu przedpołudniowym, po godzinnej przerwie rozpoczynał się drugi apel, kiedy liczono efektywy pozostałe.

Wreszcie trochę czasu dla nas: obrać się z wszy, umyć, napisać list do domu. Trzeba dobrze się śpieszyć i wyzyskać pozostawiony czas, żeby przy świetle dziennym zdążyć to wszystko załatwić. Wieczorem dopiero można pomówić ze znajomymi.

Tak dokumentnie i ekonomicznie wyzyskiwano nas, nasz czas i siły, że właściwie nigdy nie mogliśmy sobie pozwolić na spotkanie z najbliższymi towarzyszami, żeby porozmawiać. To, co mogłoby nam dodać siły, wzajemne podtrzymanie się, było ograniczone do minimum.

W lecie także i w niedzielę pracowało się w polu. Zwłaszcza podczas ostatniego roku 1944, kiedy Hitler wezwał cały naród niemiecki do najwyższego wysiłku, dla zwycięstwa. Dla tego zwycięstwa i myśmy poniosły «ofiarną» pracę w niedzielę.

Niemcy zdobywali się również na organizowanie urozmaiconych imprez dla nas. Właśnie wyzyskiwano na ten cel niedzielę. Wprawdzie nigdy prawie nie zapominaliśmy gdzie jesteśmy i w czyich rękach, ale przecież u niektórych to poczucie może przytępiało się niekiedy. Komenda obozu świetnie nam to przypominała.

Pewnej niedzieli po pierwszym apelu uformowano kolumny pracy, t. zw. Arbeits-formirung. Nie szliśmy w pole. Wyciągnięto nas w pojedynczy szereg. Równolegle co kilka kroków jedna od drugiej stały wszystkie anwajzerki i kapo z kijami w ręku. Wzdłuż nasypu ziemi, wydobytej z fosy, ustawiono mężczyzn z łopatami, także w małej odległości jeden od drugiego. Nam polecono biegiem podchodzić pod fosę, gdzie mężczyźni musieli nam nasypywać ziemi w fartuchy. Dalej również biegiem gonić za bramę lagru, gdzie musiało się ziemię wysypywać, nie przestając biec po zakreślonej linii. Następnie powrócić

znowu po ziemię i tak w kółeczko toczył się przez Niemców zorganizowany korowód więźniów. Wyciągnięte w tyralierkę anwajerki okładały po kolei każdą biegnącą. A główny wodzirej oświęcimskiego kadryla, komendant obozu, nadawał imprezie tempo.

Pracą mężczyzn dyrygowali SS, dozoru­jąc, by nasypywano dostateczną ilość ziemi dostatecznie szybko.

Mężczyźni pracowali jak maszyny, ręce im mdały, pot wystąpił na czoła, kobiety ani sekundy nie mogły ustać w biegu.

Był to właśnie na świecie karnawał 1943 roku i więźniowie oświęcimscy na swój sposób brali w nim udział.

Nie trud, nie ból uderzeń kijami, ale upokorzenie mężczyzn i kobiet stojących naprzeciw siebie było straszne. Finezja i wyrafinowanie niemieckie w stosowaniu wiedzy psychologicznej dla zdeptania człowieka iście wzniosła się na szczyty.

Niedziele o podobnie wymyślonym programie powtarzały się od czasu do czasu.

Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy niczym się nie różniły od zwykłych niedziel — oficjalnie, pozornie, bo to co każda z nas w sercu przeżywała, znajdowało tylko wyraz we łzach lub zadumie.

S A L E T R A

W długich marszach w drodze z pracy i do pracy po 20 km. każdego dnia, w szeregach piątkowych, kobiety wloką swe zmęczone nogi i skracają sobie nużącą drogę rozmowami. Powszechnym tematem gdziekolwiek zwróci się uszy są ulubione potrawy, które przyrządzały w domu. Wszystkie gotują, smażą, pieką, jednym słowem rozkoszują się wspomnieniami przyjemności podniebienia i żołądka.

Nic dziwnego, bo też właśnie to podniebienie u prawie wszystkich jest obolałe, z otwartymi ranami, opuchnięte dziąsła, popękane, pokryte skorupą wargi. Do ust nic włożyć nie można, nic przełknąć choć głód skręca kiszkę, choć osłabienie jak sieci płacze i hamuje ruchy. Dni za dniami zbiegają, gdzie cały posiłek stanowi trochę płynu. Wygłodzony organizm opanowuje jedyna myśl: zjeść coś ludzkiego i pić, pić za wszelką cenę choćby, choćby z przydrożnej kałuży, choćby dostać po głowie kolbą, lub kopnięcie żołnierskim, niemieckim butem. Najbardziej udęczone są godziny po obiedzie, na który dostaje się miskę zupy. Zupy bywają z jarmużu, kapusty, pokrzyw a przeważnie z karpielei (brukiew); od czasu do czasu zasypane kaszą. Już po zdjęciu pokrywy z kotła uderza w nozdrza ostry smród, który odstręcza, odrzuca od jedzenia. Jest to zapach zaprawy, jaką mieszają do zupy. Głównym składnikiem zaprawy jest saletra. Ona to według niemieckiej profilaktyki miała przytłumić głód seksualny, ale tymczasem saletra zżerała błonę śluzową jamy ustnej, spalała tkanki narządów trawiennych, niszczyła zdolność absorpcji kiszek, znieczulała wrażliwość.

W ustach otwierały się rany, a przyjęty pokarm organy oddawały z krwią niemal, nierzadko bez samowiedzy człowieka.

Saletra była również w chlebie, którego wieczorem dostawaliśmy porcję w ilości 280 gramów.

Do chleba dodawano na zmianę margaryny, marmolady lub kiełbasy w ilości około 30-40 gramów.

Chleb, który był dla nas podstawą odżywienia, musiał być ekonomicznie dzielony, aby z wieczora starczył jeszcze na następny dzień. Na śniadanie i kolację dostawaliśmy czarną kawę bez cukru, lub melkę, t. zn. wodę zatrzepaną mąką.

Dzień w dzień to samo; dzień w dzień obmierzły smak, ohydny zapach zupy.

Były zupy także i interesujące naprawdę. Bez przesady i ironii. W zupie można było znaleźć kawałki chleba, bułki, piernika, suszoną śliwkę, orzecha, kawałek sera, 30 pónge, guziki, potłuczone szkło słoików i wiele jeszcze innych drobiazgów ciekawych.

Pozostawione jeszcze resztki jedzenia po przybyłych transportach myśmy dojadały w zupie. Właściciele tych prowiantów nie zdążyli już ich skonsumować, a myśmy w zupie odczytywały historię tych, których już nie było.

Jakieśmy jadły «takie» zupy, odpowiedz sobie sam czytelniku.

Byłyśmy głodne potwornie, a jedzenie wywoływało okropne cierpienie, budziło wstręt.

NIEMIECKIE ŻNIWO ŚMIERCI

Grunt dla swojego żniwa w Oświęcimiu Niemcy uprawiali solidnie, z premedytacją, z wyrafinowaną sztuką i znajomością rzeczy. Zbierali plony obfite, czasem nawet bogatsze niż przewidywali.

Ludzie topnieli jak lód na wiosnę. Z dnia na dzień szeregi na apelu malały. Dzień po dniu z kręgu znajomych twarzy ginęły, znikały coraz to inne. Jeszcze dziś z tą rozmawiasz, tę widzisz, o tamtej mówisz — jutro już ich nie ma. W baraku po 3-4 tygodniach zrobiło się luźno, na kojach liczba śpiących przerzedziła się; zrobiło się przestronnie. Ale wielki ludzki rezerwuuar całej Europy stale zasilał wątlejący stan liczbowy koncentracyjnego obozu. Coraz to inne państwa słały swoich obywateli na międzynarodowy cmentarz w Oświęcimiu. Tak jak fale przechodziły przez obóz coraz to inne narody i odpływały, pozostawiając na mieliźnie lagru nieliczne jednostki. Kiedy przychodził okres transportów jakiegoś kraju, wtedy obóz nabierał jednolitego kolorytu przeważającej liczebnie w danym momencie nacji. Wtedy wszędzie przeważał ten sam typ etniczny, górował ponad inne dany język. W ramach lagrowej «organizacji» pojawiały się narodowe specjalności produkcji a nawet z dziedziny kulinarnej każdy kraj na nasz «wewnętrzny rynek» dawał coś charakterystycznego, innego. Tak np. transporty z Niemiec zaznaczały się pojawieniem rozmaitych lekarstw, z Holandii — cienką wełnianą bielizną, z Grecji — figami, oliwkami i specjalnym chlebem. Z Węgier — kwiecistą bielizną i śliwkami t. zw. węgierkami i t. d. W niedługim czasie znikali ludzie, «towary»

wyczerpywały się. Przychodzili znowu inni, i tak obrazy zmieniały się, pozostawało tylko zawsze to samo tło, ten sam chłonny grunt produkujący niemieckie żniwo śmierci. Po odpłyniętych narodach pozostawało tylko wspomnienie i nieliczne jednostki, których liczba zależała przede wszystkim od siły życiowej i odporności fizycznej danego narodu. Tak np. po bardzo licznych transportach z Grecji, liczących się na dziesiątki tysięcy, pozostało zaledwie kilka osób.

Najskuteczniejszym zastosowanym przez Niemców środkiem zabijania okazała się saletra. Zahamowanie regularności miesięcznej uważaliśmy wobec istniejących warunków faktycznie za dobrodziejstwo, ale to było uboczne a może nie przez nią spowodowane zjawisko. Saletra natomiast naprawdę po 1-2 tygodniach czasu od momentu przyjazdu niszczyła u ludzi drogi trawienne i wywoływała ogólną, straszną epidemię. Był to t. zw. przez Niemców « durchfall », którego sama nazwa wyjaśniała główny objaw choroby. Organizm nie przyjmował, nie potrafił strawić. Złośliwość przejawów tym bardziej była tragiczna, że wymagała co kilkanaście minut samotności, a która była przeważnie niemożliwa (pomijając koleżanki, byli przecież szefowie i posteni — mężczyźni) zwłaszcza w marszach z pracy i do pracy, a przede wszystkim na ciągnących się godzinami apelach. Nadto brak wody do obmycia się, brak zmiany bielizny stwarzał tak potworną mękę dla chorej, że obok fizycznych boleści upokorzenie moralne było bodaj jeszcze gorsze.

Durchfall było to coś w rodzaju tyfusu brzusznego i dyzenterii. Przy tym wszystkim nie było nadomiar temperatury, która upoważniała do zgłoszenia pod opiekę lekarską. Toteż największy odsetek śmiertelności pochłaniał niewinny durchfall, dla którego grunt użyźniała saletra, którą obficie nas karmiono. Saletra produkowana przez niemieckie fabryki amunicji.

Pytano mnie tutaj w Paryżu czy prawdą jest, że Niemcy dawali zastrzyki chorobowe. Zaprzeczyłam. Niem-

cy nie potrzebowali w tym wypadku, ani specjalnego aparatu ludzkiego, ani środków farmaceutycznych, ani nie zadawalnialiby się na pewno proporcją włożonych środków i uzyskanych efektów. Ile musieliby zużytkować własnych ludzi, ile środków, dla osiągnięcia rezultatów! Niemcy byli mądrzejsi. Nie potrzebowali nic z tego. Wszy wyręczały i wywiązywały się tak wspaniale ze swego zadania, że Niemcy już im niewiele mogli dopomagać.

Tyfus plamisty był drugim z kolei pod względem liczby narzędziem tępienia ludzi. O ilości wszy i o idealnych warunkach rozmnażania się ich już mówiłam. Tyfus plamisty przechodziły prawie wszystkie kobiety z małymi wyjątkami i wychodziły z choroby naprawdę również wyjątki.

Niemcy walczyli z epidemią.

W obozie męskim w ciągu jednego dnia skończyli z epidemią tyfusu plamistego. Wszyscy podejrzani i wykazani na tyfus plamisty poszli do komór gazowych. Jednego dnia zginęło około dwa tysiące osób chorych. Nie muszę dodawać, że to byli sami « aryjczycy ».

Ludzie zatyfuszeni zginęli, ale wszy dalej żyły. Na nie gazu nie mieli, gaz był za słaby. To samo powtarzało się w obozie kobiecym. Nikt nie ośmiewał się przyznawać, że jest chory na tyfus. Odtąd wykazywały kartoteki grype, czy inne choroby z przeziębienia. Tyfusu oficjalnie nie było, ale wszy mnożyły się do rozmiarów niepojętych. Niemcy tylko dawali zastrzyki śmiertelne, jeśli zachodziły indywidualne wypadki kary śmierci dla kobiet.

Umieszczenie obozu w okolicach Oświęcimia nie było także przypadkowe, mimo wszelkich pozorów, że życie układa się spontanicznie. Bagna i moczary rodziły inną zarazę, która masowo zabijała — malarię. Trudno wyliczyć wszystkie możliwe choroby, które z założenia istoty obozu koncentracyjnego, tępiły ludzi.

Poza całym systemem organizacyjnym w lagrze, który unicestwiał ludzi fizycznie i moralnie, zastosowali Niemcy szereg chwytów, które w krótkim procesie

załatwiały się z człowiekiem. Był 25. blok, o którym często wspominam. Był to blok śmierci; tu zamykano te, które za niedługo miały zginąć w krematorium. Szły tutaj nie tylko chore i słabe wyeliminowane w selekcji, ale również zdrowe wprost za karę. Nie było tu ani sienników, ani koców, otrzymywało się tu 1/4 tylko normalnego przydziału jedzenia, żyło się w sąsiedztwie składanych tu przejściowo trupów. Pobyt przez 2-3 dni wystarczał, aby zamknięte w 25-tym bloku kobiety stawały się półtrupami, biernie dającymi się prowadzić do krematorium.

Bicie jak wynika z poprzednich rozdziałów było na porządku dziennym, ale oprócz takiego przypadkowego bicia, było bicie systemem. 25 kijów. Zazwyczaj bito powyżej łędzwi, powodując odbicie nerek i śmierć. Istniała również karna kolumna: Strafkolonne. Tutaj była ciężka praca, systematyczne bicie i gorsze odżywianie. Dobór szefa był też specjalny, pod kątem silnej niemieckiej ręki. W karnej kolumnie były grupy, którym nie wolno było wychodzić do pracy poza druty obozu.

Poznałyśmy również różnego rodzaju karne bunkry. Znany był bunkier wodny, gdzie po kilkadziesiąt godzin stało się w wodzie i woda kapła z góry.

Moje koleżanki doświadczyły t. zw. sztejbunkra za śpiewanie polskich piosenek. Małeńka bez światła i bez powietrza cela, tak ciasna, że można było tylko jedna koło drugiej stać bez możliwości ruszenia i siadania. Po nocy spędzonej w bunkrze wychodziło się zupełnie nieprzytomnym ze zmęczenia i braku powietrza a mimo to musiało się iść do pracy. Kilka nocy spędzonych tak z rzędu wykańczały człowieka.

W pierwszym okresie istnienia obozu nie było w ogóle ani szpitala, ani lekarza. Kobiety kończyły życie tam, gdzie je śmierć zastała. Na koi w baraku, na apelu, na uliczkach obozu, w ustępie — wszędzie. Te, które żyły jeszcze, błądząc w ciemnościach nieoświetlonego obozu deptały po tych, które nie mogły się już podnieść. Tak

było przez kilka pierwszych miesięcy. Rewir, czyli baraki wydzielone dla chorych, jest to zdobycz późnej jesieni 1942 r.

Kiedy ja przyjechałam do obozu, rewir już był. Chociaż słowo rewir odpowiadać powinno pojęciu szpital, to jednak w dalszym ciągu będę używała terminu naszego obozowego: rewir. Szpital w umysłach ludzi kojarzy białe łóżka, chorych spokojnie leżących, tymczasem nasz rewir nie z tego nie miał. Były to takie same baraki jak inne z tym, że zamiast trzypiętrowych zwykłych desek do spania były trzypiętrowe łóżka. Ciasnota wielokroć większa, niż w barakach zwykłych, a chorych po 3, 4 w łóżku. Trudno mówić, żeby chore spokojnie obok siebie leżały, wzajemnie musiały się uciskać, a przewrócenie się z boku na bok było historią, która poruszała wszystkie pozostałe 2 czy 3 razem śpiące. Chore leżały bez różnicy choroby razem. Chore na tyfus plamisty zarażały się durchfallem, a te, które przyszły z zapaleniem płuc dostawały obydwu tyfusy. A wszystkie bez wyjątku przejmowały świerzb i wrzody. Ciało chorej, każdej prawie, to jedna rozdrapana, zaropiała rana.

Wszy rozwielmóżnione do niepodobieństwa zamęczały bezbronne kobiety. Tu właśnie moje przyjaciółki, leżące chore na tyfus w maju 1943 roku, użyły trafnego określenia, że koce utkane są wszami.

Na rewirze nie ma wody. Nie ma również kanalizacji ani w ogóle ustępów. O lekarstwach trudno mówić. Chore otrzymują to samo jedzenie co zdrowe. Ten sam czarny chleb, tę samą z saletrą supę. Co w takich warunkach może zrobić personel sanitarny, którymi są inne więźniarki, choćby nawet, jak były, znakomite lekarki i pielęgniarki? Powyciągać z sali umarłe, oczyścić salę, rozdzielić prowiant chorym, podać i wynieść naczynie nocne. Sanitariuszki i nocy nie mają spokojnej, zaharowane po uszy. Praca ich jest pełna poświęcenia i zaparcia. Wynieść nocnik to nie jest prosta sprawa, trzeba wylać do wiadra, wiadrami znowu dźwigać do odległego ustępu po błocie, po ciemku.

Ręce i odzież zabrudzone, popryskane, a wody nie ma, żeby się umyć. Tymi samymi rękami, którymi obsługiwała chore, zjadła własny posiłek. Personel lekarski więźniarek jest odpowiedzialny przed naczelnym lekarzem, Niemcem, umundurowanym SS. Na lekarzy więźniów spada obowiązek przeprowadzenia selekcji. Nakaz selekcji przychodzi z góry. Każdy barak ma wydać określoną liczbę chorych, na śmierć. Wszyscy lekarze, z wyjątkiem niemieckich, wiedzą, że ich obowiązkiem jest ratować ludzi od śmierci a tu muszą ich wskazywać i wydawać samil

Postawcie się w położeniu lekarza — więźnia!

Kiedy stanęła przed pierwszym takim obowiązkiem znajoma moja lekarka, przyszła do mnie, żeby się uspokoić, zdradzała objawy osoby, której nerwy i mózg rozprzegły się.

Naczelny lekarz niemiecki sam często przeprowadzał selekcję. Wszystkie chore, kościotrupy chodzące, defilowały nago przed nim i ten wybierał i wskazywał te, dla których nie było miejsca i czasu na powolne konanie. One natychmiast musiały umrzeć. Czyby same normalną śmiercią umarły — nie wiadomo. Lekarki — więźniowie musiały być czujne na podstępny i na chytre chyty niemieckie. Często ryzykowały własne życie. Przede wszystkim pokrywały i nie wykazywały chorych na tyfus, na malarię i t. d. Przysłaniały stan faktyczny chorych niewinnymi niedyspozycjami. Co do chorych na tyfus, to było wiadomo, co je czeka. W stosunku zaś do chorych na malarię Niemcy żądali wykazów, ponieważ im wmawiali, że musi się im zmienić powietrze, gruźlików natomiast wyłączyć spośród innych i dać im mleka. Z gruźlikami rzeczywiście tak w pewnym momencie zrobiono. A czy w stosunku do malaryków intencje były prawdziwe, trudno wiedzieć. Czy to świeże powietrze, to nie było to w komorach gazowych? Lekarz, chcąc ratować ludzi musiał lawirować i czuwać na nastawione zasadzki, by samemu nie wpaść i innych nie skazać na śmierć.

W takich warunkach pomoc dla chorej ograniczyć

się musiała do zmierzenia temperatury i podania lekarstwa, które zdobył lekarz na drodze «organizacji». Zdobyta ilość lekarstw nie była w żadnym stosunku do potrzeby faktycznej. Można było tylko zrobić coś dla kilku, a pomocy potrzebowały tysiące. Na rewirze było przeciętnie około 4 tysięcy osób. Toteż o rewirze trudno mówić jako o szpitalu, było to właściwie miejsce, gdzie ludzie, zamiast na drodze czy na apelu, umierali w przeznaczonym na ten cel lokalu. Trudno powiedzieć, że chorzy umierali spokojnie, bo potworne warunki i stały lęk przed spadającymi znienacka selekcjami nie pozwalają mówić o spokoju. Bałyśmy się rewiru jak właściwie skazania na śmierć. Kobiety staniały się, chodziły z gorączką 40 stopni, upadały, a na rewir pójść nie chciały. Wiadomość, że ktoś poszedł na rewir znaczyła prawie to samo, co umarł. A poza tym te nieliczne wyjątki, które stamtąd wracały, to były wynędzniałe cienie przeźrocyste, które wymagały pieczołowitej opieki, a tymczasem musiały iść do roboty w pole. Wiele takich wyzdrowiałych cudem upadało po drodze w pole, ginęło właśnie po chorobie. Po tyfusie, np. nogi opuchnięte, dotknięte niedowładem nie udźwigały chorej w marszu kilkunastokilometrowym dziennie.

W obozie kobiecym występowała naturalna sprawa rodzenia. Wśród aresztowanych były oczywiście ciężarne. Początkowo załatwiano się z nimi krótko. Ciężarnych nie było. Później... Kobiety rodziły dzieci, ale dzieci natychmiast znikwały. Taka okruszyna życia czymże była wobec tysięcy, milionów ludzi. A że była matka, w której serce nóż wbito?... A któż mógł się przejąć i zająć Tobą, umęczone, cierpiące serce ludzkie...

Później wyszło rozporządzenie o nieoddawaniu noworodków do krematorium. Zostawiono istotkę samej sobie, z niezawianym pepkiem aż wykrzyczała swoją iskierkę życia. Krematorium, wierście mi, było dobrodziejstwem. Z czasem stworzono pozory, że w obozie życie polepsza się i rzeczywiście polepszało się. Zmienił się także kurs, na pewien czas zresztą, w stosunku do

ciężarnych. Od czego to zależało — nie wiadomo. Powiał jakiś inny wiatr i ogłoszono, że ciężarne będą zwalniane. Kobiety nie wierzyły — nie chciały się przyznawać. Trudno wiedzieć i przejrzeć zdradzieckie podstępny bandytów, czy nie był to taki sam chwyt, jak w stosunku do malaryków, których wysyłano na świeże powietrze?

Nie wiem, czy istotnie zwolniono kobiety ciężarne, ale wiem, że do końca w obozie rodziły.

System warunków, system układu życia codziennego i atmosfery sprawiał, że właściwie po krótkim pobycie w obozie każda z nas nie była w zupełności zdrowa. Wyłączając choroby obłożne, przy których występowała wysoka temperatura, były niezliczone, mniej poważne, z którymi się chodziło, pracowało, żyło w ogóle stale. Tak np. wszystkie kobiety były opuchnięte. Co pewien czas, każda z nas dostawała obrzmienia całego ciała. Wtedy twarz stawała się jak maska, oczy ledwie zaznaczone, a nogi jak belki z trudem się dźwigało. Wszystkie kobiety przechodziły również świerzb, który zaniedbany przez tygodnie a nawet miesiące, przekształcał się w rany ropiejące i wrzody. Nacieranie ciała odpowiednimi środkami medycznymi bez kąpieli gorącej i dezynfekcji odzieży nie wystarczało, dlatego świerzb był powszechny i niezwykle dokuczliwy, biorąc pod uwagę, że nadto gryzły nas wszy.

Lekarze, z którymi miałam okazję rozmawiać w obozie nie potrafili określić pewnej infekcyjnej choroby skóry, gdzie powstawały jak po oparzeniu pęcherze napętnione wodą i ropą. Skoro pęcherze pękały, otwierały się głębokie rany, a wobec braku środków opatrunkowych, ta przypadłość była gorsza niż tyfus nawet.

Oczywiście z tymi dolegliwościami ludzie pracowali. Obraz maszerującej kolumny przypominał wlokące się cienie, a w chwili kiedy posiadały na ziemi pod blokiem, sugerowały sceny z obozu trędowatych. Stawałyśmy się zewnętrznie obdartymi z atrybutów człowieka. W naszym zatracaniu się była pewna granica, której przekroczenie

znamionowało bliskie wykończenie się. Niemcy na określenie ludzi z poza tej granicy mieli specjalny termin: muzułmanin. Przez analogię do modlącego się muzułmanina tak nazywano więźniów, którzy załamali się fizycznie i czołgając się wlekli brzemię życia koncentracyjnego obozu.

Myśl przewodnia niemieckiego koncentracyjnego obozu w Oświęcimiu realizowała się niezwykle dokładnie i sprawnie. W czasie kiedy przyjechałam do lagru t. j. w styczniu 1943 r. naturalna śmiertelność wynosiła około 100 kobiet dziennie, a w lutym i marcu 1944 r. dziennie przeciętnie umierało 800 kobiet przy mniej więcej jednakowym stanie liczebnym obozu, t. j. około 15 tysięcy. Stosy trupów ludzkich nie nadążano uprzątnąć.

Zdaje mi się, że osiągnięte rezultaty nawet przekroczyły oczekiwane rozmiary. Tempo wymierania ludzi w Oświęcimiu było szybsze, niż sobie tego życzano. Jeszcze nie czas nam było wyginać wszystkim.

Komenda obozu zaczęła tępić wszy, budować umywalnie. Wielu naszym kobietom wydawało się, że to się zmienił kurs w stosunku do nas, że zmieniły się dyspozycje, idące z góry, a to tymczasem było zwykłą kalkulacją niemiecką, celem zachowania nas na dłużej. Byłyśmy jeszcze potrzebne.

HITLEROWSKI BAKCYL MORALNY

Muszę wyrazić po prostu podziw, jak Niemcy stosowali nie tylko system warunków materialnych, które uśmiercały ludzi, ale zużytkowali precyzyjnie naukę psychologii dla dezorganizacji duszy ludzkiej, dla zniszczenia moralnie człowieka.

Niemcy w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu zabijali ciało i duszę. A nieraz właśnie duszę przed ciałem.

Rzucone w otchłań nędzy, bezbronne, mogliśmy ratować się, żyć, przeciwstawiając się uzbrojone w siłę solidarności, w jedność cementowaną miłością siostrzaną.

Tymczasem organizatorzy obozu z góry, z całkowitą świadomością taką niebezpieczną dla siebie ewentualność przewidzieli i czynili wszystko, co mogli, by jej zapobiec.

Ludzie w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu byli zmieszani jak w wielkim kotle. Wszystkie narodowości, wszystkie wyznania, wszystkie klasy społeczne, wszystkie kategorie « przewinień ».

Całą masę ludzką rozdzielono tylko według płci. Były osobne obozy męskie i osobne kobiece. A poza tym wysypywano jak do jednego worka: Polki, Czeszki, Francuzki, Rosjanki, Jugosłowianki, Holenderki, Belgijki, Włoszki, Węgierki, Greczynki i Niemki... Rozmaite języki, rozmaite temperamenty, rozmaite pojęcia, rozmaite usposobienia i rozmaity wiek.

Rozmaitość wyznań była obojętna, bo na wyrażenie uczuć religijnych nie starczało czasu i miejsca.

Za co i kogo Niemcy skazywali na koncentracyjny obóz w Oświęcimiu? Wszystkich. Tych, którzy im niepotrzebni — byli balastem materialnym w dziele

tworzenia « Wielkich Niemiec ». Tych, którzy byli niebezpieczni dla hitlerowskiego państwa. Tych, których śmierć była konieczną dla zasilenia skarbu państwa w złoto i dla wzbogacenia obywateli niemieckich.

Obok garstki więźniów politycznych byli ludzie z łapanek na ulicach, w kinach, kościołach, kawiarniach, z pociągów i rynków potajemnego handlu, z lokali rozrywkowych.

Ludzie, których « wina » nie leżała w świadomej, wrogiej dla hitleryzmu działalności politycznej. Byli to ludzie w pojęciu własnym i w pojęciu kodeksów cywilizowanych narodów — niewinni.

Na przykład w moim transporcie z celi zbiorowej w więzieniu krakowskim na 150 kobiet było nas 16 więźniarek, aresztowanych w związku z akcją polityczną, szesnaście, które przeszły przez ręce gestapo. Wiedziały, za co cierpiały, wiedziały, za co pojedą do koncentracyjnego obozu. Reszta kobiet z mojego transportu nie uświadamiała sobie, ani za co są w więzieniu, ani co je czeka. Przypuszczały, że zostaną wysłane do robót w Niemczech. Ale, że zostaną zamknięte w obozie koncentracyjnym, że właściwie zostały skazane na śmierć — to nikomu nie przychodziło do głowy.

Komenda w obozie lekko zróżnicowała te rozmaite zespoły ludzi obozu. Pierwsza grupa — przestępczyń politycznych oznaczona była czerwonym « winklem » (trójkątem), umieszczonym obok kolejnego numeru, wydrukowanego na szmatce, którą się nosiło przyszytą do odzieży. Pod kategorię politycznych podciągnięto wszystkich ludzi z łapanek, bez względu na to w jakich byli więzi okolicznościach. Była to kategoria najbardziej różnolita, najbardziej zmieszana.

Przestępczynie kryminalne a więc złodziejki, bandytki, mężobójczynie i t. d. oznaczone były zielonym « winklem ».

Wreszcie « elementy asocjalne », do których zaliczono przede wszystkim uchylające się od pracy i prostytutki, miały « winkiel » czarny.

Takie samo znakowanie było w obozie męskim.

Wreszcie poprzez te różne warstwy szły poprzeczne różnice klasy społecznej, kultury i charakteru. Wprawdzie różnice społeczne zacierała ta sama wspólna dla wszystkich nędza, ale reakcja, sposób zachowania się wobec systemu warunków materialnych właśnie w różnicach postawy ideowej i wyrobienia osobistego leżała.

Mieszanina przypadkowa? Nie, w Oświęcimiu nie było nic przypadkiem: Niemcom szło o to, aby w obozie nie powstał żaden zespół, abyśmy nie zdołali dogadać się ze sobą, porozumieć, zorganizować, przeprowadzić jedną myśl. Aby nas złamać moralnie, tworzyli materialne warunki, obliczone na to, by skłócić, rodzić niechęć, rozpalać nienawiść.

Świadomie spychali ludzi na granicę śmierci, gdzie działa już tylko ślepy instynkt. Świadomie tworzyli dżunglę, w której nad ludzką solidarnością przewagę miał mieć brutalny egoizm, przebiegłość, bezwzględność wobec słabszych fizycznie.

W tej dżungli, stanowiącej zgęszczony obraz społeczny Trzeciego Reichu, skrupuły humanitarne, delikatność, kultura charakteru miały stać się śmieszną słabością, a zwierzęca walka o byt miała selekcjonować obozową « elitę » — na obraz i podobieństwo « elity », która rządziła Niemcami. Ludzie, o rozwiniętych pojęciach społecznych, o kulturalnym lub ideowym poziomie, mieli zginąć, zdeptani przez ślepą i prymitywną zwierzęcość — za swoją subtelność ducha, która w hitlerowskim języku oznacza słabość i niższość.

Miejsca do spania w baraku były lepsze i gorsze. Gorsze, t. zn. nie tylko niewygodne, ale wręcz godzące w życie. Spać na dolnych kojach wprost na kamieniach — to nie jest kwestia małej niedogodności, to jest kwestia śmierci. Rozdział koi dokonywuje się na własną rękę... Kto zdąży dostać lepsze miejsce, ten jest « wygrany ». Ten jest « wygrany » kto potrafi iść po trupach, kto potrafi p o d e p t a ć innego. Jeżeli przypadkiem właśnie

tobie człowieku z « przewróconymi kulturą » pojęciami przypadło lepsze spanie, możesz ustąpić tym, którzy leżą na mokrych kamieniach bez światła i powietrza w dolnej koi. Proszę — masz prawo. To samo jest z miejscem na apelu. Możesz ustąpić swoją suchą cegłę i zająć miejsce tej, której błoto przelewa się wierzchem trepów. Biegiem wybiera się narzędzia do pracy. Jeśli nie wepchniesz się siłą po lżejszą łopatę, to będziesz pracowała 2 godziny ciężkim kilofem, który zrywa ci ręce, obrywa wnętrzności.

Jeśli stoisz w ogonku za jedzeniem, te, bardziej brutalne, przebiegłe dostaną lepszą zupę z wierzchu, dostaną również dolewkę i zdążą zjeść i wypocząć chwilę. Ty niedołączna z « przesadami » o sprawiedliwości nie zdążysz zjeść, kiedy skończy się przerwa obiadowa i głodna pójdziesz do pracy. Bakcyl deprawacji, szczepiony ludziom z największą świadomością, demoralizował, niszczył, zabijał ludzi moralnie, tak jak wszy i mikroby uśmiercały fizycznie.

I jak wszy wgryzały się w nasze ciała bezbronne, tak w nasze życie społeczne wgryzały się szumowiny — prostytutki, złodzieje, kryminaliści, którym Niemcy powierzali codzienną pieczę nad nami, stanowisko obozowej « elity » w postaci, t. zw. f u n k c y j n y c h.

Niezwykle ważny dział wewnętrznej organizacji powierzała komenda obozu więźniarkom. W biurach i kancelarii obozu pracowały z odpowiednimi kwalifikacjami osoby spośród więźniarek. Funkcje kierownicze w administracji obozu pełniły także więźniarki. Więźniarki z administracji zakres pracy miały bardzo duży, ale zakres ich władzy jeszcze większy. Na czele lagru stały t. zw. Lagerälteste i Lagerkapo. Do pierwszej należało pilnowanie porządku i dyscypliny wewnętrznej do drugiej sprawy związane z pracą więźniarek w obozie. One stawiały wnioski do mianowania na wszystkie inne funkcje jak blokowe (administratorki w baraku), kapo i anwajzerki, które pilnowały ludzi przy pracy.

Bezpośrednią naszą władzą były właściwie więźniarki mianowane z góry. Zakres ich władzy nad nami był tak

duży, że ciężiej odczuwałyśmy na swoim karku ten ślepy miecz, niż niemiecką rękę, która nim kierowała. One rozdzielały i pilnowały pracy, one rozdzielały jedzenie, one ustawiały apel, one biły i tłukły nie słabiej od Niemców. One karały, one wysyłały na 25-ty blok, skazywały na śmierć.

Jak Niemcy dobierali więźniów na odpowiednie funkcje? Opowiadała mi pewna Niemka, studentka medycyny, oczywiście więźniarka z czerwonym « winklem » (wśród Niemek przeważały czarne « winkle ») historię, kiedy jej proponowano stanowisko lagerälteste. Komendant lagru robiąc przegląd z nią po drodze napotkał konającą gdzieś w kacie kobietę. Komendant polecił kandydatce na lagerälteste zdeptać umierającą, ale kiedy ta odpowiedziała, że tego nie potrafi zrobić, wtedy odparł, że nie nadaje się wobec tego na stanowisko lagerälteste. Czy to nie wystarczy, żeby wiedzieć kogo Niemcy mianowali na funkcje administracyjne, które były przedłużeniem ich morderczej ręki? Właśnie przez nie, przez te « selekcyjonowane » więźniarki wnikał Niemcy we wszystkie komórki życia naszego w lagrze.

Czym zdobywały te « nasze władze » autorytet wśród naszych koleżanek? Pięścią, kijem i groźbą bloku 25. Przypadały te funkcje niekiedy i kobietom przyzwoitym, ale to były wyjątki, którym nie łatwo było utrzymać pion moralny, zachować ludzki stosunek do swych towarzyszek niedoli, ukrywając to przed baczным okiem hitlerowskich katów. Muszę stwierdzić, że niektóre z nich zachowywały się po bohatersku, nie tylko chronić nas, ale i niosąc nam pomoc, z narażeniem własnego życia.

Tak więc w Oświęcimiu powstał nowy « Herrenvolk », a raczej specyficznie lagrowa odmiana « Herrenvolku », który zapanował w Europie : f u n k c y j n e . Pomiedzy funkcyjnymi a szarą masą pracującą w polu leżała przepaść warunków życiowych. Funkcyjne miały dobre lokum (osobne pokoiki), łóżka, jedzenia pod dostatkiem, ubrania z « organizacji » aż do zbytku, lekką pracę i b e z g r a -

niczną władzę nad resztą więźniarek. Funkcyjne można było kupić, przez nie można było wyrobić sobie lepszą egzystencję, ale funkcyjne mogły również zniszczyć, mogły poprzetrącać kości, mogły skazać na śmierć.

Skarżyć się nie było możliwe i nie było komu. Wszelkie wystąpienia z biorowe były surowo karane. Pewnego razu, kiedy kolumna wystąpiła ze skargą na niesprawiedliwy rozdział jedzenia przez funkcyjne, wszystkie skarżące dostały baty, wymierzone osobiście przez lagerkomendanta i przez dwa dni nie dostały w ogóle jedzenia. Toteż dodatki chleba czy kielbasy, t. zw. «Zulage» dla pracujących w polu zaledwie w części były rozdzielane. Resztę wprost kradły funkcyjne. Po dniach «zulagowych» anwajzerki, kapo, posteni i ich psy były objedzone kielbasą, a ciężko pracujące więźniarki głodne.

Żeby wydać na śmierć więźniarkę wystarczyło funkcyjnej albo ułożyć tak jej życie, że same warunki prędko ją wykańczały, albo wprost zadenuncjować małe przevinienie, za które szło się na 25-ty blok.

W obozie, tak jak w małym państewku, powstał charakterystyczny ustrój społeczny, któremu podstawy dała nie przez przypadek hitlerowska teoria o narodzie panów i jego państwie.

Na spodzie nowopowstałych warstw społecznych leżała wielka, szara, ciężko pracująca masa ludzi. Na górze stała klasa rządząca — funkcyjne. One miały wszystko dosłownie, nie wyłączając praw do «miłości» (SS-mani i więźniowie). Dalej stopniowanie szło poprzez drobniejsze funkcje; grupy pracujące w biurach; warstwy więźniarek, pracujące w magazynach; robotnice fabryczne i największa masa pracująca w polu. Ostatnie dwie grupy były najliczniejsze i najbiedniejsze. Jeśli warunki materialne w lagrze poprawiały się, to korzystać z nich mogły przede wszystkim funkcyjne i górne warstwy. Robotnice fabryczne

i polne dalej spały w tych samych barakach, dalej nie miały czasu myć się, dalej były bite i kopane.

Stosunek górnych warstw do dolnych cechowała wyniosłość i pogarda. Dolnych w stosunku do góry — nieraz potworna zawiść i płaszczenie się. Nieraz odnosiłyśmy wrażenie, że topimy się w gnojówce fizycznej i moralnej. Czasem fale brudu podchodziły już pod same usta, dusiłyśmy się, ginęły.

I teraz Wam powiem najważniejszą prawdę. Prawdę, którą trudno mi było poruszyć i wyjaśnić we wszystkich ustnych referatach krótkich. Tą prawdą jest, że dla nas, którym dane było przetrwać, pokonać potworne warunki materialne, nie brud, wszy, pluskwy, ciężka praca, bicie przez Niemców były najcięższymi do zniesienia przykrościami, a l e g n ó j m o r a l n y, stosunki wewnętrzne między więźniarkami. To było najpotworniejsze, to była najbardziej okropna męka.

Interesowało się wiele osób kwestiami seksualnymi w obozie. Otóż zdaje mi się, że jeśli nie saletra, to na pewno ciężkie warunki materialne przygłuszyły i tłumiły tę dziedzinę życia ludzkiego. Były wypadki lesbijskie, ale najlepszym dowodem, że były rzadkie to to, że się o nich jako o osobliwości mówiło. Być może, że było ich więcej. Ja ich nie dostrzegałam i funkcyjne czyli « arystokrację » lagrową, wśród której były wypadki zboczenia, poznawałam przez jej pięć i szykanę osobistą.

Odgaduję co czują, jakie snują refleksje czytelnicy, patrząc na obraz moralny lagru, jaki tutaj odkryłam. Odpadają Wam złudzenia męczeństwa ludzi w aureoli, pękają piękne łuski i odsłaniają mierzące brzydactwo, ogarnia Was zniechęcenie i cierpkość.

Czujecie na odległość odór zgnilizny.

A pomyślcie, że tam na miejscu byli ludzie, których ten brud zalewał stale, którzy pływali w tej gnojówce! Jakich sił musieli użyć, ażeby brudne męty nie zalały ich, nie porwały ze sobą.

Niemcy z pełną świadomością plugawili to, co w

narodach było najlepsze, najszlachetniejsze, mieszając je z najobrzydliwszą zgnilizną — moralną. Jeszcze raz Wam powiem, jeszcze raz Wam powtórzę, że więcej nas kosztowało trudu, cięższą dla nas była walka moralna niż walka z potwornymi warunkami materialnymi, które niosły śmierć.

Mimo błota, mimo smrodliwego zalewu ostali się ludzie nietknięci, czysti: wcale nie jednostki, ale całe grupy, które zdolne były opierać się nawale gnoju. Jak to nie było łatwe!

Często śmiano się z nas jak z dziwolągów, często lekceważono jako niedołążne życiowo. Stosunek do nas był pełen niechęci, ale i podziwu. Za podziwem tym kryła się tęsknota do walki, która oczyszcza i ratuje w znękanym ciele ludzkim — CZŁOWIEKA.

Moc nasza była w sile przyjaźni i solidarności związanych ze sobą ludzi. W miejsce rywalizacji zwierzęcej złączyła nas siostrzana wzajemna pomoc. Puklerzem w tej strasznej fizycznej i moralnej walce na śmierć i życie była wspólna idea, myśl o walce toczącej się za drutami obozu i charakter, który z tej walki przyniosłyśmy ze sobą aż tutaj.

Ani na chwilę, ani na sekundę nie wolno było zluźnić czujnej postawy bojowej. Nie można rozluźnić więzów, nie można na chwilę odpocząć, musi się być w stałym pogotowiu.

Niemcy czuli, że zbrodnia Oświęcimia w historii przyszłych pokoleń będzie nigdy nieokupioną winą, że przyjdzie im z czynów swoich zdać rachunek, że myśl ludzka nad Oświęcimiem będzie stawiała piekący znak zapytania, zwrócony pod adresem narodu niemieckiego.

Niemcy starali się zapobiec temu, ażeby Oświęcim pozostał w pamięci świata jako plac boju, gdzie mógłby powstać ku czci męczeństwa i bohaterstwa człowieka pomnik z jednoczonej Europy, który by świadczył przeciwko nim. Niemcy

uprzedzili sąd świata — wybudowali w Oświęcimiu kloakę. W Oświęcimiu w męskim obozie był dom publiczny!!!

Instytucja ta została otwarta w 1944 roku. Personel żeński został wybrany z obozu kobiecego. Otwarcie domu osobiście zainaugurowali komendanci obozu. Na wizytę w domu publicznym mężczyźni więźniowie, za « dobre » sprawowanie się dostawali premie.

Dom publiczny był pierwszym budynkiem od wejścia z bramy, na której widniał napis: « Arbeit macht frei ».

Zbrodnia niemiecka polega i na tym, że najlepszych obywateli krajów, najszlachetniejsze elementy w narodach, które podbili, poddali władzy szumowin, a świętą wiarę w ideały i w człowieka starali się wdeptać w błoto. Tam, gdzie ludzkość stawia świątynie, Niemcy stawiają kloakę.

ŻYCIE PODZIEMNE W OBOZIE

Niemcy odebrali nam prawa człowieka w obozie. Zepchnęli nas poniżej poziomu domowego zwierzęcia, oraz urządzili tak cały aparat lagrowy, żeby nas zniszczyć i zabić fizycznie i moralnie. Bronić się, walczyć wprost, otwarcie niepodobna było. Zrozumiałe.

Lecz nie ma takich warunków, które zdołałyby zniszczyć walkę ze złem, z poniżeniem człowieka. Postawa tych, którzy przyszedli do lagru za udział w Ruchu Oporu, tutaj stała się bardziej zacięta i twarda. Walka stawiała się tutaj koniecznością wynikającą z samych warunków lagrowych, stawiała się naszym drugim — j e d y n i e p r a w d z i w y m ż y c i e m . Stawała się ona zarazem *conditio sine qua non* (niezbędnym warunkiem) zachowania życia fizycznego i moralnego — więźniarek.

Walka toczyła się na dwóch płaszczyznach : moralno-ideowej i materialnej. Ta druga czerpała swe siły z pierwszej.

Fale brudu moralnego i nędzy zalewały ze wszystkich stron i ten trud, by wznieść się ponad to i spojrzeć na pogrążające nas bagno, z perspektywy CZŁOWIEKA było strasznie ciężko.

Od pierwszego momentu, kiedy zdecydowałyśmy się stawić czoło przeszkodom, nie uważałyśmy, że podziemna praca patriotyczna, walka nasza, z jakiej nas wyrwano, w lagrze skończyła się. Nie czułyśmy się zwolnione z jej obowiązków, potrzeba jej stała się jeszcze mocniejszą.

Chwycić w dłoń ster, zmobilizować wszystkie pozytywne siły, przeciwstawić się upadkowi moralnemu, skierować myśl na walkę i wyzwolenie — oto nakaz, który narzucił się nam nieoparcie.

Gryzły nas wszy, wyniszczała nędza i głód, zabijała choroba. Wygodnych stanowisk w lagrze nie miałyśmy. Dzień w dzień w pole, dzień w dzień walka o wodę do umycia się, dzień w dzień zmęczenie śmiertelne.

A mimo to o sprawach innych nie przestawaliśmy myśleć. Na opanowanie całej masy, na ujęcie jej organizacyjnie nie starczyło nam siły. Za to mogłyśmy dążyć do związania jedną myślą, jedną intencją podobnie patrzące osoby. Szukałyśmy siebie i skupiały. Oczywiście wzajemna pomoc przyjacielska w nędzy i w chorobie była naszą płaszczyzną. Wobec śmierci, która czyhała na każdym kroku, pomoc ludzka była jedynym ratunkiem. Przesuwając się we wspomnieniu te obrazki, jako dowody niezwyklej ofiarności we wzajemnych stosunkach aż do samozaparcia. Ratowałyśmy życie jedna drugiej. Nie tylko w stosunku do siebie, ale podawałyśmy dłoń naokoło.

W oczach otoczenia bywałyśmy nieraz śmieszne. Wydawała się niezrozumiałą, że aż podejrzaną więźniarka, która oddawała swe suche skarpetki innej, pozostając sama przez cały dzień w mokrych. Bywało, że podejrzewano o szukanie jakiejś korzyści osobistej więźniarkę, która dzieliła się paczką, otrzymaną z wolności. Dochodziło do tego, że człowiek musiał przewycięzać bojaźń przed niskim posądzeniem, które mogło doń przylgnąć za najprostszy akt solidarności.

Walka z upadkiem wiary i ducha to była zasadnicza troska. W lagrze załamać się moralnie równoznaczne było ze śmiercią. Szukałyśmy pokrzepienia, którym była nadzieja na szybkie uwolnienie. Ono mogło przyjść na pewno jedną drogą: klęski Niemiec, zwycięstwa aliantów. Głód wiadomości politycznych był ogromny. Oficjalnie w regulaminie, wydrukowanym na blankietach listowych naszych było powiedziane, że mamy prawo czytać gazety. Tymczasem w praktyce było inaczej. A nadto skąd wziąć gazetę? Wyszło kilka listów na wolność bez cenzury, nieoficjalną drogą. Rodzina, przyjaciele cięli na kawałki, na strzępy gazety i użyte jako papier pakunkowy przesyłali

wewnątrz paczek żywnościowych. Czasem przyszło od nich również własne słowo, przemycone starannie. To było źródło cudowne, z którego piłyśmy pokrzepienie. To nas podtrzymywało. Wiadomości polityczne rozbiegały się po obozie błyskawicą. W ten sposób przyszła wiadomość, że Niemcy od Stalingradu odparci... że idzie zwycięstwo. Nigdyśmy w nie nie wątpiły.

Wątpiliśmy tylko nieraz, czy dożyjemy, czy przetrwamy do tego momentu. Wątpliwość — czy warto ponosić tyle męki na próżno — spadała kamieniem na piersi. Pamiętam jak mnie pytano — cóż z tego, że wydzwigniesz się, cóż z twego ciągłego przełamywania trudności? Prochy twoje i tak użyżnią pola w Oświęcimiu. Mówiono stale, że lagier jest podminowany. Był taki moment na wiosnę 1944 r. Mijał maj, a oczekiwana ofensywa z zachodu nie przychodziła, wojska sowieckie jeszcze daleko, a nam w drugim roku pobytu w obozie nie starczało już siły.

Nagle obiegła wiadomość — 6 czerwca! Już są! Kobiety ścisnęły sobie ręce. Wszystkie, i te nawet, które nigdy nie wiedziały co to jest Hawr, powtarzały, że jest dobrze. Zawsze tak było; nie wiedziały co, nie znały faktów, tylko szły do nas jak po komunie z jednym pytaniem, czy jest dobrze? A nadzieja, że będzie dobrze, dodawała sił na trud codzienny.

Obdarte z wszelkich dóbr duchowych, gdzie samo słowo czytane było niedostępne, sięgnęłyśmy do wspomnień, do wiedzy zdobytej dawniej. Opowiadałyśmy o świecie, znanym z podróży, streszczałyśmy książki, odtwarzałyśmy w słowie filmy i sztuki teatralne, a nawet sięgnęłyśmy do naukowych wiadomości i rozmyślań. Oczywiście było to w okresie, kiedyśmy się już zaklimatyzowały do warunków lagrowych, kiedy dzień nie był zbyt znojnny — małą godzinę wieczorem opowiadałyśmy sobie.

Jaką nagrodą były dla nas te natarczywe pytania i prośby: « opowiedz ». W ciemnościach baraku, po żarze

lub mrozie dnia, który wydawał się bez końca, jak ostrogą spinało nas to żądanie współtowarzyszek niedoli. I człowiek mówił, mówił... a wokół... a wokół tworzyła się cisza napięta.

W tych momentach owiane duchem, który bił ku nam od masy nędzarek, wdeptanych w błoto a jednak złaknionych jakiegoś promienia piękna i wiedzy, zapominałyśmy same o nędzy naszego materialnego istnienia i czułyśmy nasze zwycięstwo nad hitlerowską machiną, przeznaczoną na wytępienie w narodach wszelkiej potrzeby kultury. Te proste dziewczęta z ludu, które pozbawiały się skąpych chwil, przeznaczonych na sen, aby s ł u c h a ć, to dziewczę, które przesiedziało część nocy na stołku, dygocąc z zimna byle tylko nie zasnąć — to było nasze zwycięstwo nad wrogiem.

W ten sposób broniłyśmy ducha. A oto jak broniłyśmy się przed zagładą fizyczną.

Podstawą materialnego życia w obozie była t. zw. «organizacja» — słowo, które w oświęcimskim żargonie oznaczało... kradzież z magazynów lagrowych. Odpowiedzią i samoobroną na wyzbycie nas z wszystkiego dobra, z wszystkich potrzeb materialnych, odpowiedzią na skazanie nas na brudną, nigdy niezmienianą bieliznę, na pozbawienie nas wszystkich drobnych ale zasadniczych potrzeb cywilizacji i higieny była «organizacja» — kradzież.

Ludzie, których Niemcy przywozili do Oświęcimia i niszczyli, zabierali ze sobą wielkie dobra, najrozmaitsze rzeczy. Przecież ufnie jechali, wierząc w niemieckie kłamstwo, że jadą na pracę.

Specjalne kolumny więźniarek naszych pracowały przy segregacji i magazynowaniu pozostałych po ludziach rzeczy. Stąd mimo kar surowych, zdobywałyśmy potrzebne przedmioty. Od «efekciarek» (tak nazywano pracujące w magazynach) drogą kupna wymiennego dostawałyśmy bieliznę, buciki, grzebień, lekarstwa i t. d.

« Organizacja » to była dziedzina, w której wszystkie brałyśmy udział. Na tym odcinku rozumiałyśmy się, współdziałały powszechnie. Oczywiście potrzeby i możliwości « organizacyjne » funkcyjnych były nieporównanie większe i inne, niż szarej masy ludzkiej. Funkcyjne może nigdy na wolności nie były otoczone takim zbytkiem, jaki zdobyły sobie w lagrze.

A tak jednak było! Pokoiki lagerälteste i blokowych wysłane i obite były dywanami. Firanki, szlafroki, bielizna, najpiękniejsze rzeczy, jakie w Europie ludzie mieli, były do dyspozycji.

Nędzne pozory niczym niezastąpionej wolności! Funkcyjne miały i mogły zdobyć nieraz więcej rzeczy, niż mógł o tym nawet marzyć przeciętny żołnierz SS niemiecki, który nas pilnował. Oni dobrze o tym wiedzieli, oni do magazynów dostępu nie mieli. Nierzadko drobne usługi oddane więźniarkom ze strony postenów, żołnierzy zwycięskiej Rzeszy Niemieckiej sownie im się opłacały. Naszym panom opłaciło się być w dobrych stosunkach z pewnymi więźniami. « Organizacja » wekslowała się tą drogą i na zewnątrz poza druty obozu na życie wolnych. Szło do prywatnych rąk niemieckich przede wszystkim złoto i zegarki. Posteni i szefowie dobrze się mieli na swych stanowiskach w obozie. Jakie porobili majątki, jak się wzbogacili jest to tajemnicą i dla ministra skarbu państwa niemieckiego.

Tą drogą przychodziły rzeczy z wolności: wódka, papierosy i przedmioty luksusu dla szumowin z « ary-stokracji » lagrowej. Nie zawsze zresztą złoto szło z lagru na płacenie zachcianek tej warstwy. Za złoto przychodziły potajemnie lekarstwa. Za złoto bywało, że auta pełne ludzi skazanych na śmierć — wyjeżdżały — zamiast do pieca — na wolność.

I nie wszystkie więźniarki funkcyjne były « asocjalne ». Nie wszystkie sprzedawały się SS-manom, lub utrzymywały się w funkcji biciem, gnębieniem swych koleżanek. Te, które ostały się czyste — za cenę niezliczonych poświęceń,

pod grozą kary straszliwej — ratowały nas za pomocą odzieży, medykamentów, żywności « organizowanej » czyli kradzionej dla innych.

Trzeba było niezwykłej odwagi i pomysłowości, aby w tym obliczonym na upodlenie człowieka systemnie nie upodlić się, a jednak zachować funkcję i zamienić ją z narzędzia ucisku w środek pomocy, ratunku. Te, które temu sprostały, zasługują w pełni na miano bohaterów.

Nie wszystkim je mogłam poznać. W tej wieży Babel, przez którą przesunęły się miliony ofiar, stanowiłyśmy mały odcinek, z trudnością wchodzący w styczność jakąkolwiek z innymi. Wszędzie jednakże czuło się ich działalność, płynącą wężutkim, utajonym, lecz jakże ożywczym strumykiem!

Niemcy wszystko w obozie trzymali biciem. Bat stał się symbolem nie tylko męki fizycznej, ale moralnego i politycznego oddziaływania na ludzi. Bat wciskano w ręce więzionych wraz z ludźmi uczciwymi szumowin, dając im: możliwość wyładowania swych złych instynktów, a zarazem odwracając nienawiść ofiar w kierunku tych właśnie ślepych narzędzi nazizmu.

Batogiem podlono nieraz i ludzi o uczciwej przeszłości, lecz słabych. Batogiem podlono nieraz i politycznych « häftlingów » — najpierw ich bijąc, a potem wciskając im ten sam batóg do ręki. Patrząc od rana do wieczora na bicie — bezlitosne, oszałamiające — mieć w ręku bat i wiedzieć: albo uderzę, albo na mnie spadnie codzienny grad ciosów — wiedzieć to i nie ustąpić, nie bić, a ratować... Czy potrafisz ocenić, czytelniku, ogrom mocy, jaki ujawnił się w duszach tych kobiet i mężczyzn?

Walka o godność człowieka nie zna « okoliczności łagodzących » dla tych, którzy stali się dręczycielami swych towarzyszy niedoli. Im potworniejszy jest wróg, im bardziej ci stworzył ohydne warunki walki — tym większy masz obowiązek wobec siebie samego: pozostać wiernym wspólnocie. Są tacy, którzy — zwolnieni

— będą musieli o k u p i ć samozaparciem i pracą swój brak mocy duchowej. Są inni, których trzeba będzie l e c z y ć, by przywrócić im ludzkie uczucia, normalny instynkt gromadzki — najszlachetniejszy z instynktów człowieka. Są wreszcie tacy, k t ó r y c h h i t l e r y z m d o c n a z d e p r a w o w a ł i którym trzeba unie-
możliwić nadużywanie męczeńskiego tytułu.

W walce na śmierć i życie z faszystowską ohydą nie ma miejsca na usprawiedliwianie słabości. Ale jest miejsce na hołd dla mocy i czystości moralnej tych oświęcimskich « funkcyjnych », którym wróg wepchnął do ręki batóg, a one stały się dobrymi duchami.

Im hołd, im podzięka siostrzana.

Bakcyła hitlerowskiego białego pałka, wżartego korupcję i wyrafinowaną intrygą — trzeba będzie długo, uparcie usuwać z zatrutych dusz ludzkich. Tym, którzy się tej ogromnie ważnej pracy podejmą przyda się niewątpliwie obraz « kliniczny » (gdyż Oświęcim był prawdziwą kliniką specjalnie hodowanej podłości) jednej z najgorszych toksyn, jakie wypadło nam zwalczać.

Niemcy starali się wyzyskać wszelkie możliwe różnice dla budzenia wzajemnej niechęci między więźniami: różnice społeczne, wykształcenie i t. d. Lecz najstraszliwszą z trucizn, którymi się posługiwali, był umiejętnie podsycany szowinizm rasowy i narodowy, wykorzystujący nasze codzienne niedole.

Nasza bieda i cierpienie, których sprawcą był wróg nad nami panujący, rodziły w stosunkach wewnętrznych morze żalu, który wylewał się przede wszystkim w nienawiściach narodowych. Im było gorzej, tym szowinistyczna pasja była bardziej gorąca. I właśnie te spośród więźniarek, w których świadomość przynależności narodowej przedtem zaledwie przeblyskiwała, stawały się najgłośniejszymi, najzaciętszymi « patriotkami ». Tak więc to. piękne, pełne szlachetnej treści słowo « patriotka »

zaczęło oznaczać w obozowym żargonie rozwścieczoną babę, dla której wyzwiska: «żydówka», «ukraińska świnią», «polska mordą» i t. p. stanowiły ujście dla nagromadzonej w zbolałym sercu goryczy.

Niemcy i to pojęcie — patriotyzm — potrafili skrzywić i splugawić. Często powodem sprzeczki były naprawdę głupstwa; jak np. motyka lżejsza, pierwsze miejsce w ogonku za jedzeniem, łyżka, ładniejsza miska, i kłócące się kobiety, jeśli przy tym były różnej narodowości, stawały się ognistymi «patriotkami». Jakieś zatechłe żale znajdowały wyraz właśnie na płaszczyźnie różnic narodowych.

Uświadamiając sobie, jak nieprzystojne były powody, by szargać z głupiej przyczyny łyżki czy motyki słowem: Polka, Rosjanka, Francuzka, dążyliśmy do temperowania pasji uczuciowych, do wskazywania prawdziwego winowajcy. Udało się nam zbudować wśród światlejszych elementów wspólną bazę międzynarodową. Z tej wspólnej płaszczyzny Polki, Ukrainki, Czeszki czy Żydówki oddziaływały na swoje rodaczki.

Zawiść i głupota pomawiały nas o brak patriotyzmu za to, że się szło z pomocą także dla Ukrainki czy Żydówki. Wypułyśmy z tego powodu wiele goryczy, wiele przeżyłyśmy ciężkich chwil, do których należała także obrona przed panoszącą się denuncjacją.

Była nas garstka nieduża, ale opinia poruszana przez nas ukracała rozwielenione służalstwo i płaszczenie się przed niemieczyną. Kampania przeciwko śpiewaniu w marszu piosenek niemieckich, kosztowała nas niejedno «mordobicie». Miałyśmy za to nieraz dowód, że wysiłek nie idzie na marne, bo nawet te, które nas zadenuncjowały, skoro zrozumiały swój błąd, szukały u nas rehabilitacji i przebaczenia.

Gorzej było z zamaskowanymi wrogami, szpiegami, świadomie uprawiającymi swoją robotę. W obozie męskim skoro wykryto właściwego donosiciela, koledzy wręcz go zabijali, a trupa wyrzucano pod blok. U nas kobiety

sprawały « kapusiom » (w naszym języku szpiegom) — « kocówkę ». Zarzucano donosicielce koc na głowę i biły ją wszystkie. System śledzenia i donoszenia Niemcy rozprowadzili po obozie jak miny w ziemi. Poruszałyśmy się nie wiedząc, gdzie i kiedy nadepnjemy na mięjsce, które wybuchnie.

W roku 1944 Niemcy stali się szczególnie czujni. Niuchali wszędzie, szukając śladów wewnętrznej organizacji i nici, które prowadziły na zewnątrz, poza druty, do społeczeństwa. Wiadomo było, że w pobliżu obozu krążą partyzanci. SS-mani ujawniali wyraźny niepokój.

Pomawiano ludzi o zamiary buntu wewnętrznego, dla którego znakiem miało być wysadzenie w powietrze krematorium. Kapo pracujących przy krematorium zabito.

Prawdziwie jednak siła nasza była nie w rozległości organizacyjnej, (jak to się działo np. w Buchenwaldzie — największym skupisku więźniów politycznych) tylko w przekonaniu, gdzie leży prawda, i w świadomości, że nasz opór w obozie był przedłużeniem oporu, który trwał poza drutami obozu. Skąpe wieści wyłuskiwane z okrawków gazet, rozmowy o przeszłości, odezwania się naszych wrogów — stawały się źródłami naszej wiary w przyszłość. Z tych źródeł czerpałyśmy soki życia dla siebie, te źródła wskazywałyśmy innym. To był nasz cel, nasze życie « podziemne ». Wiem jedno, że dzięki tej sile sama i wiele z nas przetrwało obóz.

JEDEN DZIEŃ W LAGRZE

Kolumny wracają z pracy. Jest już koło godz. 18. Tego dnia słońce skryte grubymi zwałami chmur nie było nam zegarem. Przez cały dzień deszcz mżył cieniutki, niemal rozpylony w mgłę. Wiatr południowo-zachodni, dżdżysty i porywisty przeniknął przez pory ubrania. Oświećim jest nie tylko krajem błota, ale i wiatrów.

Buty oblepione błotem ciężą, hamują tempo marszu. Nadto droga rozmiękła poorana głębokimi skibami, pełna kałuż nie pozwala utrzymać równego kroku, ni rytmu. Pierwsze szeregi idą względnie szybko, ale za nimi ciągnie się kilka setek kobiet, które nie nadążają tempu, pogubiły swoje piątki, a poganiane wrzaskiem i kijem podbiegają, usiłując wyrównać za duże odstępny. Słabsze zostają na końcu i męczą się podwójnie, bo raz po raz muszą biegiem dopędzać. Marsz w ostatnich szeregach wymaga wysiłku, jakby odbywało się podwójnie długą drogę. Dziś kolumna rozwlokła się na dużej przestrzeni i choć anwajzerki nawołują: « aufgehen » i rozdzielają kułaki, wiele kobiet ustaje, wlokąc się już w pojedynkę. Wiatr dmie wprost w twarz, siecze ciało dżdżem, zapiera oddech. Odzież mokra, sflaczała oblepia się, pęta nogi. Z mokrej chustki jak z ceraty spływa deszcz za kołnierz zakietu. Słupy i wieżyczki obozowe widać już, ale droga jeszcze daleka, dziś oporna, trudna do przebycia. Podnosimy opuszczone głowy, by tęsknym wzrokiem stwierdzić, czy jeszcze długi marsz, czy jeszcze daleko od bramy. Wyprzedzamy myślą czekających nas kilka zakrętów, przeliczamy ra minuty, odważamy na uncje nasze siły, kiedy wreszcie znajdziemy się u wejścia do obozu. Dziś tęsknimy niemal

za obozem, a widok przysiadłych bud barakowych witamy prawie z radością.

Męcząca powrotna droga wydusiła wszystkie siły i ciągniemy nogi za sobą mechanicznie jak automaty. Miara naszego wyczerpania jest uczucie tęsknoty za dużym, nieoświetlonym blokiem. Wreszcie charakterystyczny ostry smród zgnilizny rzuca się w nos i znamionuje bliskość obozu. Smród od obozu już na odległość jednego kilometra wpada na człowieka i za każdym jego krokiem zgęszcza się, aż przestaje być odczuwany przez nozdrza, tylko opada na płuca dusznością i kładzie na skronie żółtość zmęczenia.

Jesteśmy już u bramy. Posteni już odchodzą na bok ze swoimi psami, które dzisiaj stąpane i mokre utraciły fantazję do ujadania, w milczeniu rozstają się z kolumną. W milczeniu przelicza nas « Oberaufseherin ». Już część wcześniej przyszłych z pracy niewiast ustawia się w szyku do apelu. My również zajmujemy swoje stałe miejsce przy Lagerstrasse i odprowadzamy wzrokiem wchodzące po nas kobiety. Każda dźwiga na rękach dwie cegły, lub łom drzewa.

Najgorzej jest jednak z tymi nogami w nocy. Czasem dopiero po kilku godzinach przestajesz stopy swoje odczuwać jak lody, a czasem przez całutką noc są nierozgrzane i dygocąc przetrwasz do rana. Noc choć krótka, bo najwyżej 5 lub 6 godzin trwająca, wtedy wydaje się wiekiem. Pierwszy moment wkładania na siebie szmat mokrych jest obrzydliwy, wstrząsa całym ciałem. Mokra odzież przez noc parowania, przeszła wstrętnym zapachem i tylko pozostała nadzieja na słońce, które jeśli zechce w godzinach południowych to nas przesuszy.

Tymczasem po wejściu do baraku musimy dostać jeszcze chleb i kawę, na które przy liczbie 800 kobiet musimy cisnąć się w ogonku przynajmniej jeszcze godzinę. Dobiega już 8 godzina kiedy ze swoją porcją chleba i kubkiem kawy windujesz się na koję, by wreszcie zjeść i odpocząć! Nie zawsze pozostaje jeszcze tyle siły i woli,

żeby zdobyć się na całą godzinę dłużenia w tłoku mokrych sukien. Nogi nie są zdolne udźwigać ciężaru ciała i rezygnuje się z kolacji, byle usiąść. 17 godzin na nogach tego dnia bez odetchnięcia podczas obiadu, który też się zjadło na stojąco. Z powodu mokra nigdzie usiąść nie można.

Każdego dnia muszą nogi wytrzymać 17 godzin stania! Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu przy łopacie, kilofie, przy motyce wytrzymać muszą nogi ciężar ciała i narzędzia pracy.

Biedne nogi, puchną z wysiłku, w nocy cierpią, często odmawiają posłuszeństwa. Powstają żylaki. W lagrze najwięcej zmęczone są nogi, one najwięcej, one kwalifikują zdolność przetrzymania obozu.

Dwadzieścia miesięcy, dzień po dniu zimy, lata i jesieni bez względu na pogodę, 17 godzin na dobie jesteś obiektem działania sił przyrody. Deszcz, śnieg, mróz, skwar słoneczny, wszystko jedno — jesteś w polu. Erozja działa, skały kruszeją. Siły ludzkie są twardsze od skały — mają w sobie hart diamentu woli, twardniejącej w walce i k a ż ą c e j w y t r w a ć.

W ocenie rodzajów pracy z punktu widzenia ciężkości jej — pracę w polu uważało się w obozie za najcięższą. Nadto przebywanie większość doby poza obozem utrudniało możliwość zorganizowania sobie osobistego życia. Kobiety pracujące w polu, w pojęciach o ustroju klasowym w lagrze, były kategorią ostatnią. Kategorią pariasów. Żeby dostać się do innej pracy, prawie każda więźniarka musiała mieć staż pracy w polu. Tego wymagały nawet niemieckie władze lagrowe. Niemniej należałam do tej znikomej grupy inteligentek, które wybrały właśnie pracę w polu. Całe 20 miesięcy pobytu w obozie przepracowałam tylko w polu. Dlaczego? Może wpłynęło na to moje pochodzenie chłopskie, zaprawa turystyczna i harcerska, a także usposobienie. Myśl nieskrępowana drutami kolczastymi ogrodzenia lagrowego, wyzwolona z zaduchu i ciasnoty baraku mogła wędrować po świecie. Nadto w polu były drzewa, trawa — przyroda. Po 3 miesięcznym pobycie

w więzieniu i kilku dni w obrębie lagru i baraku pierwszy raz po wyjściu w pole widok rosnącego drzewa niemal mnie rozrzewnił. Tu w polu nam tego odebrać nie potrafili. Bo w lagrze — tak. To co w długich godzinach apelu ścisnęło serce — to obraz otoczenia. Kruki obsiadły dachy baraków, czyściły dzioby — czekały. Nigdy nie spotkałam wróbla ani innego ptaka w obozie — same kruki. Poza tym jeszcze całe masy myszy, które gnieździły się w naszych posłaniach, dzieliły się naszym chlebem zostawionym z wieczora na rano, muskały po twarzy, budziły w nocy chrobotaniem. I wreszcie lagier, to było królestwo szczurów. Wiele trupów ludzkich w każdą noc zostało ogryzionych. Szczury miały prawdziwe używanie. Pewnego razu podczas apelu, kiedy mózg obsiadły mi kruki, nagle na dachu baraku zobaczyłam jakieś stworzenie. Radosna myśl ocuciła mnie z odrętwienia — jest tutaj kot. Kot towarzysz — człowieka w domu. Tępi myszy, pomaga jak przyjaciel. Tymczasem zwierzę na dachu po przypatrzeniu się dokładnym było jakieś dziwne, wyleniłe z sierści i kiedy odwróciło głowę w moją stronę, nie miałam wątpliwości — szczur. Jedynym sušem skoczył w komin baraku i znikł. Przeszedł mnie dreszcz z zimna. Czy przyroda nawet stroniła od nas, skazanych na śmierć?! Zostały naszymi towarzyszami tylko szczury i kruki. Podniosłam w górę oczy, szukając oparcia, ale niebo zagroził płomień i dym krematorium.

Śmierć! Z każdego kąta śmierć! Oto dlaczego przedłożyłam ponad inną pracę, pracę w polu.

Droga powrotu z pracy jest w dni deszczowe cięższa niż zwykle. Wyczerpane jesteście kompletnie. Zmęczenie ogarnia śmiertelne i myśl jeszcze stania za chlebem odbiera ochotę do jedzenia. Ale pragnienie napić się parę łyków gorącej kawy zmusza do wydobycia z siebie jeszcze tych ostatnich kropel siły i decydujemy się na stanie w ogonku. Zresztą niemal każdy dzień wyciśnie z nas tak siły i energię, że chleb, który trzeba wyczekać stojąc, zapłacony jest ceną samozaparcia, dyktowanego rozsądkiem. Porcja

chleba wieczorna stanowi żywność podstawową następnego dnia.

W baraku tu i ówdzie migają płomyki świeczek. Kobiety pousiadały na swoich posłaniach milczące, z zaciśniętymi twarzami, ponure, złe. Na kogo? Na los, który je zepchnął na dno nędzy, na matkę, która zrodziła je na mękę, na Niemców, którzy stworzyli obozy koncentracyjne, na wszystko, co wyrwało z domu, rozbiło rodzinę, zniszczyło życie człowieka i sprowadziło do form zwierzęcego bytowania. Za jakie i czyje winy tyle męki? Nie można ukryć swego cierpienia, nie można opanować odruchu. Skondensowany ból i spieniony pasją wybuchnie i potoczy się nie na istotnych sprawców, na splót dalszych przyczyn, ale na najbliższą sąsiadkę, która przypadkiem poszturchnie, wytrąci kawę z ręki, na koleżankę, która koc położy na chlebie.

Im więcej, im gorzej, im bardziej zmęczone i głodne, tym wzajemnie bardziej nieustępliwe, zażarte, niedobre.

Patrzyłam na nasze kobiety i widziałam jak sejsmografem nastroju był stopień zmęczenia i głodu.

Oczywiście, kiedy ludzi wiąże wspólna sprawa, wspólna idea, — inaczej przedstawiają się rzeczy. O tym w wielorakiej masie w Oświęcimiu nie zawsze mogła być mowa.

Gdybyśmy miały własny kąt, który by pozwolił na chwilę znaleźć się sam na sam z sobą, ze swoim bólem, pomyśleć i odprężyć się nerwowo, odpocząć. Ale i na tym punkcie Niemcy wykazali swoją perfidię. Zmuszając nas do życia w masie 24 godzin na dobę, niszcząc wszelką możliwość życia osobistego, starali się tym sposobem zohydzić nam życie społeczne, zniszczyć wszelki odruch braterstwa czy solidarności. Praca wiązała nas we wspólną gromadę, marsz w kolumnie skuwał w szeregi, barak zamykał w stale brzęczący zbity rój owadów. Stale w masie, stłoczone, masą przygniecione. Nigdy nie jest się samemu. Wydaje się nieprawdopodobnym, że można było kiedyś samemu lub we dwoje mieszkać w pokoju, mieć osobny kąt, oddzielony od innych ludzi.

Własna izba, oddzielne mieszkanie staje się szczytem tęsknoty.

Na wszystkich piętrach w mroku baraku ludzkie czarne sylwetki tłoczą się jak cienie w chińskim teatrze. W trzech poprzecznych kondygnacjach baraku żyją ludzie. Górne piętro jak na dłoni rozkłada obraz zajętych sobą kobiet. Jedne nieruchome leżą, inne z nogami podwiniętymi pod siebie siedzą zgarbione, wpatrzone w jeden niewidoczny punkt, wiele jeszcze trzyma na kolanach swój chleb i dojada kolację, niektóre iskają odzież a zaledwie tylko w kilku punktach siedzą grupki i rozmawiają. Całość sprawia wrażenie półdzikiego obozu cygańskiego.

Środkowa płaszczyzna ujmuje obraz zamieszkałych w nich kobiet w ramy teatralnej szopki. Tutaj mogą tylko siedzieć wpółzgięte, lub leżeć. Ruchy ograniczone do minimum, mówią uznojone twarze. Mieszkanek dolnego piętra nie widać wcale. Wciśnięte w mrok jak w psiej budzie, mrokiem osłonięte. Wsuwają się w koje jak w wilgotny grób. Nad barakiem unosi się gwar. Więźniarki koncentracyjnego lagru mają teraz czas dla siebie — odpoczywają. Teraz właśnie należy pomyśleć o umyciu się. Ciemno, pada deszcz, oślizgłe grząskie błoto, ustęp z wodą na drugim końcu obozu, a zmęczone jesteśmy i leżymy ciężarem kłody.

Należy się przełamać i podźwignąć. Niewiele z nas stać na ten wysiłek. Istotnie, gdyby w tej chwili kwestia mycia się była tylko potrzebą fizyczną, żadna nie zdobyłaby się na nie. Dla nas jest to czymś więcej, jest to akt woli zapanowania nad trudnościami i wydobycia ze siebie jeszcze tej odrobiny wysiłku, który jest czystym i najgłębszym i najgłębszej mocy dokumentem oporu. Aktem manifestu — nie damy się. Praca i trud dnia zabija w nas myśli, wolę, wszelkie uczucie i wszechwładnie zapanowałaby nad nami, gdybyśmy nie wycisnęły jeszcze nadto ze siebie

tych paru uncji siły, które są dowodem niepoddania się kompletnego. Bo poddać się — to znaczy zrezygnować, skapitulować w walce, zginąć.

Dla mnie dokumentem panowania nad sobą było zmuszenie się do oczyszczenia obuwia. Był to trud wielokroć razy niecelowy. Zaraz rankiem buty moje po paru krokach były tak samo brudne, jak z wieczora po całym dniu. Niemniej w oczyszczonych moich butach każdego wieczoru składałam manifest, że nie ustąpiłam. Przychodziłyśmy niekiedy tak straszliwie zmęczone, na pół obumarłe i w takim momencie zabierałam się do czyszczenia butów. Na powolne i systematyczne rozkładanie czynności około własnej osoby nie ma warunków. Światło świeczek skąpe i brak czasu. Zaniedługo zostanie ogłoszona gwizdkiem « lagerruhe », światła pogasną i obowiązuje milczenie. Choć lagerruhe jest wcześniej zasadniczo, do snu układamy się około godziny 22.

Przed nami 5, 6 godzin odpoczynku. Noc krótka, która ma dać siły na jutrzejszy trud, na jutrzejszą walkę. W pierwszych dniach pobytu w lagrze jego koszmarna rzeczywistość przekraczała wszelką zdolność rozumienia, wszelkie ludzkie pojęcie o potworności, wydawała się snem. Noc natomiast sprowadzała sen — prawdziwą rzeczywistość: ukochanych ludzi, własne mieszkanie, zwykłe obowiązki, normalne smutki i radości. Życie w śnie było prawdziwe, życie na jawie było nierealnym, koszmarnym snem. Żyłam moim normalnym życiem w nocy, w dzień żyłam strasliwym snem. Sen był rzeczywistością, rzeczywistość była snem. Takie przedstawienie faktów narzuciło się samo. Dzięki takiemu odwróceniu prawdy przetrwałam najcięższe pierwsze dni i tygodnie w koncentracyjnym obozie. Kiedy spotykałyśmy kobiety, które mówiły o sobie, że są już w obozie 2—3 miesiące patrzyłyśmy na nie z niedowierzaniem i podziwem. Przetrwać 2 miesiące — 60 dni, kiedy każdy dzień wydaje się niekończącym się wiekiem — to niemożliwe. Przetrwałam sama 20 takich miesięcy.

Noc przynosiła nie tylko pokrzepienie dla członków, ale przez sen o innej rzeczywistości równoważyła siły ducha.

Niestety, taka dobra noc trwała krótko. Jeszcze gruba ciemność na świecie około 3 godziny, kiedy gwizdek i wołanie « aufstehen » wrywa nas z naszego świata do innej rzeczywistości.

Trzeba się szybko podnieść i pozbierać starannie swoje rzeczy, by nie pogubić ich lub pomieszać z rzeczami obok śpiących koleżanek. Trzeba skupić całą uwagę, by sprawdzić logicznie kolejność zajęć i nie stracić małych drobiazgów, które w dalekiej konsekwencji ujawniają swoją wielką wagę. Tak, nie łatwo jest mieć je stale w pamięci, tak ciężko potem, gdy o nich zapominamy. Nigdy nie oeniłam tak ważności drobiazgów jak w smutnych doświadczeniach lagrowych. Wystarczyło zarzucić kawałek sznurka, którym przywiązuje się trepy. Nieprzymocowany trep uwięźnię w błocie, spadnie z nogi, jeśli go nawet odnajdziesz, zamoczysz stopy a jeśli nie — wrócisz boso kilkanaście kilometrów po błocie. Dalsze konsekwencje każdy sobie sam dopowie. Tak jest ze wszystkimi szczegółami, które u swego początku są drobne, niewinne, w konsekwencji tragiczne, przynoszące śmierć.

Niezwykle dużo silnej woli, roztropności i skupienia trzeba było wydobyć, aby przy wstawaniu w rozgardiaszu, ciasnocie, pośpiechu zebrać się składnie bez utarczek i nieporozumień z sąsiadkami.

Jeszcze nie zdążyliśmy się ubrać, kiedy blokowe nawołują do pójścia po kotły z kawą. Chętnych nie ma, dyżurne wymigują się, bo kilkadziesiąt metrów po głębokim błocie poprzez przekopane rowy, w zupełnej ciemności udźwigać stolitrowy kocioł płynu nie małych wymaga sił.

Szybko rozdziela się kawę, którą się wypija stojąco. Jest to pierwsze śniadanie, o którym się pracuje do południowej miski zupy.

Dobiega 4-ta godzina, kiedy musimy wychodzić z bloku, by ustawić się w kolumny do apelu. Ciemna noc jeszcze, na wolnym świecie ludzie przewracają się dopiero na drugi bok, kiedy więźniowie w koncentracyjnym obozie trzaskają już całą godzinę i zaczynają swój dzień stanieniem na dworze w rannym apelu.

*« ...Nad nami gwiazdy gasną
Bo przecież teraz szara godzina...
W moim domu dziecko płacze.
Może mnie moja mama wspomina?
Czy ją jeszcze zobaczę?... »*

Myśl błędzi, szuka odległego, nieistniejącego dla nas domu. Nad Oświęcimiem gwiazdy gasną a ciemność poranka oświeśla wysoki czerwony pióropusz płomienia nad krematorium. Ono nie gaśnie ni w dzień, ni w nocy.

O godzinie 5-ej aufzejerki odbierają apel.

*« Połem nas liczą, z dumą, pogardą
One, te z wyższej rasy.
Te są niemiecką awangardą
Liczą to bydło w pasy. »*

W międzyczasie podczas apelu świt przejaśnił niebo, a słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy uformowane kolumny pracy kierują się pod bramę, skąd wyruszają do swoich zajęć. (Jest około godz. 6 według zegarów niemieckich, według słońca pięta).

Anwajzerki i kapo objęły tuż po apelu władzę nad kolumną, dojdą zaraz szefowie, posteni i psy. Jesteśmy już poza bramą. Ujadanie psów i jazgot anwajzerów ogłuszają myśli. Lecz za chwilę myśli pobiegną ku własnym domom, będą szukać śladów dawnego życia i zwątpią czy jest możliwe, że poza nami są inni ludzie, inny świat, gdzie nie jest się bydłem w pasy, pilnowanym przy pomocy psów.

W marszu kilkukilometrowym do pracy przebiegnie się myślą cały świat i utrudzone stajemy przy rowach nad łopata. Do przerwy obiadowej myśl już niezdolna jest podnieść się i liczyć będzie wyrzucone łopaty ziemi, odmierzać sekundy, minuty i wiekiem ciągnące się godziny. Nie wiadomo czy więcej dręczy nas fizyczny wysiłek, czy trud nużących, przewlekłych, straszliwie jałowych godzin, gdzie myśl niezdolna jest wyjść poza krąg nudnego odwalania ziemi. Wolałyśmy cięższą pracę przekładając ją nad lżejszą a nudną. Jeśli czas przebiegł niepostrzeżenie, to chociaż członki bolały z pracy, czułyśmy się lżejsze i mniej zmęczone. Popołudnie zbiegało nieco szybciej i z utęsknieniem czekałyśmy gwizdka, kończącego robotę.

I znowu kolumna ustawi się po pięć do powrotnego marszu, a słońce tymczasem przerzuciło się na drugi kraniec nieba i w drodze obserwować będziemy, jak zapada za horyzont.

Jest godzina 18 — mieszkańcy koncentracyjnego obozu wracają z pracy.

Toczy się koło dni, tygodni, miesięcy w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu, wciska pod swoją obręcz żelazną zamknięte w nim życie setek tysięcy ludzi całej Europy.

ISTOTNY SENS OŚWIECIMIA

Opowiedziałam Wam część męki i zmagañ deportowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Wiecie już, że w lagrze w Oświęcimiu Niemcy stworzyli świadomie z naukową precyzją i brutalną pruską konsekwencją, system środków i chwytów, które życie czyniły nieznosne a śmierć nieuchronną, choć powolną.

Ale właściwa prawda o Oświęcimiu leży jeszcze w czymś innym.

Prawda o koncentracyjnym obozie AUSCHWITZ jest inna w istocie. Prawda, która powoduje pomieszanie mózgu, która nie mieści się w kategoriach zdrowego rozsądku.

Prawda, która ścina krew w żyłach, zatyka serce — jest prawdą o hitlerowskim nowym porządku świata.

W obozie w Oświęcimiu część nas mimo wszystko przetrwała. W połowie sierpnia 1944 r. tatuowana cyfra wprowadzonych do obozu kobiet wynosiła około stu tysięcy. Transportowanej w tym czasie do obozu w Oświęcimiu ludności Walczącej Warszawy dawano w dalszej kolejności cyfrę, która wynosiła od stu tysięcy w górę, ale liczb tych nie tatuowano na ramieniu, jak wszystkim innym poprzednio.

Pozostawało również w tym czasie w osobnym ogrodzeniu 14 tysięcy Żydówek, które również nie były tatuowane.

Otóż z tych stu tysięcy tatuowanych kobiet do sierpnia 1944 r. pozostało przy życiu około 11 tysięcy « aryjek » i Żydówek razem.

Reszta wymarła lub zginęła przez « selekcję ».

A zatem zachował się nas pewien procent. Część

wyswobodziły w swym zwycięskim pochodzie Armia Czerwona i nasze Wojsko Polskie, powstałe w wyzwolonej ojczyźnie. Większość pozostała jeszcze na szereg tygodni w rękach Niemców. Jednostkom udało się umknąć.

Dlaczego Niemcy pozwolili tej małej garstce uchować się, dlaczego pozwolili jej przetrwać? Więcej nawet — komenda obozu zrobiła wysiłek, aby opanować epidemię, która w pierwszych miesiącach 1944 r. szalała i groziła w krótkim czasie wyniszczeniem kompletnym całego obozu. Przeciętą cyfra 800 zgonów na dobę zapowiadała całkowite wyludnienie lagru w ciągu kilku dalszych tygodni.

Tak krótki proces wykończenia nas nie leżał w zamiarach ani w interesie oficjalnych czynników niemieckich. Przeciwstawiono się epidemii. Wytępiono tym razem przez szereg systematycznych gazowań wszy. Zniesiono 25-ty blok, a nawet wydano rozporządzenie ukracające samowolę bicia więźniów przez funkcyjne więźniarki czy nawet przez postenów i szefów. — Zbudowano kilka umywalni, uporządkowano ustępy i śmietnik — ogólnie poprawiono zewnętrzne warunki bytowania.

Śmiertelność zmalała do nieznanej przedtem cyfry.

Czyżby zmieniło się zasadnicze nastawienie Niemców w stosunku do więźniów w koncentracyjnych obozach? Czyżby została zaniechana główna wytyczna programu hitlerowskiego w odniesieniu do pokonanych narodów?

Nie! Nic podobnego. Przeciwnie. Przeprowadzane ulepszenia były właśnie konsekwentnym wypełnieniem owego, z góry powziętego planu. Były świadomym operowaniem środkami w realizowaniu tego samego zadania: wytępienia « zbędnych » i wrogich hitleryzmowi nacji. Właśnie w wypełnianiu tych celów myśmy Niemcom były potrzebne. Niemcy pozwalali żyć tysiącom, by uśmiercać miliony.

Więźniowie stanowili w strukturze organizacji lagru bardzo ważny element. Więźniowie nie tylko zastępowali i zwalniali od konieczności użycia wielu sił wojskowych, ale pracę organizacyjną wykonywali nieraz lepiej od sa-

mych Niemców. Funkcyjni dogłębniej i mocniej wnikali w życie obozu, niżby to potrafili robić umundurowani Niemcy. Byliśmy potrzebni komendzie obozu, jako zasadniczy szkielet całej potężnej organizacyjnej maszyny lagru. Bez współudziału więźniów nie byłoby łatwe funkcjonowanie wszystkich komórek obozowego życia.

Następnie byliśmy Niemcom potrzebni do współdziałania w samej procedurze niszczenia milionów transportowanych tutaj ludzi. Specjalne kolumny, t. zw. «Sonderkomando» obsługiwały krematoria. Osobne kolumny mężczyzn i kobiet pracowały przy segregowaniu i magazynowaniu rzeczy pozostałych po wygazowanych ludziach. Po każdym transporcie przy torze kolejowym pozostawały góry walizek, tobołów, pakunków najrozmaitszego dobra ludzkiego. Praca przy nich wymagała setek rąk roboczych.

A wreszcie my więźniarki z wytatuowanymi na rękach numerami spełniałyśmy jeszcze inną najistotniejszą rolę... Myśmy przez fakt samego istnienia obozu stanowiły zasłonę dla pokrycia właściwej prawdy o Oświęcimiu. Pewnymi małymi pozorami (listy, paczki) stworzono na zewnątrz wrażenie, że Oświęcim jest tylko obozem odosobnienia.

Przeciętny mózg ludzki poprzez szereg drobiazgów, do których wszędzie więźniowie mają prawo, nie potrafił przejrzeć właściwych zamiarów niemieckich, istotnego sensu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Środkami prostymi osiągnięto swój cel: zasłonić przed światem istotę rzeczy.

I dlatego świat uczepił się pozorów, wygodnego sceptycyzmu i tak długo nie potrafił zrozumieć, że koncentracyny obóz w Oświęcimiu był dla tysięcy jedynych obozem śmierci powolnej, lecz dla milionów drugich masowym i szybkim uśmiercaniem w komorach gazowych.

OŚWIĘCIM BYŁ MIEJSCEM MASOWEGO MORDOWANIA LUDZI.

I to jest PRAWDA ISTOTNA o Oświęcimiu.



Jeśli stworzone warunki naturalne nie dość szybko zabijały ludzi, Niemcy przyspieszali proces tępienia przez selekcję na rewirze, t. zn. w barakach dla chorych. Raz po raz wpadała komisja z naczelnym lekarzem niemieckim i wysegregowane wśród chorych osoby wycieńczone, słabsze, odsyłała natychmiast do gazu.

Podczas przybywania transportów jak również podczas selekcji na rewirze urządzano przezornie t. zw. «blokszperę», t. zn. nie wolno było nikomu wychodzić z baraków.

Pewnego razu podczas przeprowadzanej selekcji znalazłam się przez przypadek pod główną bramą lagru. Ulice obozu były kompletnie puste, tylko nad całą przestrzenią unosiło się wycie ludzi. Na moich oczach przejechało dwadzieścia aut ciężarowych, pełnych nagich kobiet, które wywożono z rewiru do krematorium. Stojący w tym czasie na wieżyczce strażniczej młody niemiecki żołnierz, ze zdziwieniem zapytał mnie, co to znaczy, dokąd je wiozą. A kiedy z równym zdziwieniem przyjął jego pytanie i odpowiedziałam mu krótko, strażnik niemiecki nie chciał uwierzyć, że to jest prawda. I w pewnym momencie stało się z nim coś dziwnego. Wpadł w furję. Zaczął łamać deski wieżyczki, zmierzył się z karabinu do strzału w kierunku stojącego w pobliżu oficera SS. Wtedy skoczyli do niego na górę inni żołnierze SS i sprowadzili szaleńca na dół.

Selekcje odbywały się również na apelach, a także w kolumnach wracających z pracy wybierano słabsze, mizernie wyglądające.

W pierwszym okresie z dworca kolejowego w Oświęcimiu przetransportowywano do krematorium ludzi ciężarowymi autami. Pod komorą gazową wysypywano ludzi jak buraki lub kartofle, wprost zrzucając ich na ziemię przez podniesienie przodu wozu w górę.

Później, kiedy ilość transportów z całej Europy a zwłaszcza z Węgier w miesiącu kwietniu, maju, czerwcu

i lipcu 1944 r. wzrosła, przeprowadzono z głównej linii kolejowej Kraków — Katowice bocznice, która szła wzdłuż obozu, wprost do krematorium.

Powiększono ilość krematoriów do 14, a nadto wykopano również głębokie doły, gdzie na stosach drzewa palono wprost bez gazowania, żywcem dzieci do lat 14. Nie zawsze starczało gazu w komorach dla ludzi; oszczędzano go dzieciom, które ginęły żywe w ogniu.

Były to miesiące, kiedy płomienie nad kominami krematorium nie gasły, a z nad płonących stosów unosiła się gruba, gęsta chmura dymu, która ciągnęła się długimi kilometrami i przysłaniała Oświęcim wraz z okolicą szarym kirem pyłu.

Kiedy pracowałyśmy w polu w odległości nawet kilku kilometrów od obozu, ciała i ubrania nasze pokrywała czarna sadza.

Śmierć od gazu Niemcy uważali za łagodniejszą formę zabijania. Toteż pewien podoficer SS, chcąc wyrazić wdzięczność wobec pewnej lekarki żydówki za wyświadczoną mu pomoc lekarską upewnił ją, że dla niej nie zabraknie gazu.

Niemcy w miarę możliwości wyzyskiwali życie ludzkie nim je unicestwili.

Był 10. blok, gdzie niemieccy naukowcy mieli do badań swoich do dyspozycji żywych ludzi. Wśród nich znany był lekarz, który przeprowadzał badania nad zagadnieniami genetycznymi bliźniąt. Zachowywano dlatego matki z bliźniętami.

Szły pociągi za pociągami z wagonami przepelnionymi ludźmi. W maju 1944 r. dziennie przychodziło po 5 pociągów, a w każdym pociągu po 50 wagonów, a w każdym wagonie po 100 ludzi. Z zaplombowanych wozów wydobywał się wieloraki: starczy, kobiecy, dziecinny głos wzbijający się na jedną błagalną nutę: w a s s e r l

Patrzyłam na twarze naszych szefów i postenów, czy to są twarze ludzi również?

Szef wtedy rzucał rozkaz: e i n L i e d!, (piosenkę!).

I niewolnicze głosy śpiewały : « Frühling in das Land »
(wiosna nastaje na świecie).

Twoje uszy, niemiecki obywatelu, zagłuszono, bo
twoje sumienie już dawniej zabiło.

A tymczasem wysiadali ludzie z wagonów, spokojnie
formowali kolumny w piątki i szli biernie do samych
komór gazowych. Z naturalną ufnością przyjmowali
ręczniki i z pełną wiarą wchodzili do sal, oczekując ożywczych
strumieni wody. I wtedy... ale już było za późno, zobaczyli,
że z kranów na wodę — schodził gaz... śmierć!

Frühling in das Land!

« NIE WIERZYLIŚMY »

Rozmawialiśmy z ludźmi z transportów, które przyszły
w czerwcu 1944. Pytałam się — jak to daliście się brać
bez walki?... Odpowiadano mi : Nie wierzyliśmy, że to
prawda jest.

Organizacje Oporu w Polsce, we Francji, we wszystkich
krajach ostrzegały w tysiącnych ulotkach, gazetkach i
wydawnictwach : brońcie się, walczcie, atakujcie — to
jedyna droga ratunku.

Ale były też w Polsce inne organizacje rzekomego
oporu, nawołujące do « czekania z bronią u nogi ». Ileż
ludzi zginęło tak u nas i w całej Europie, zasłuchanych
w ten głos, który paraliżował ich wolę.

Wy, którzyście pisali i w konspiracyjnej prasie, że
« jeszcze czas na walkę » — czyście zrozumieli, że popełni-
liście zbrodnię? Że współdziałaliście z Hitlerem w wymor-
dowaniu milionów ludzi ?

Jakże zgodnie, jakże pod intencje niemieckie podchodził
głos w całej Europie wołający : cicho, spokojnie, czekajmy.

Głos, który był najlepszym sprzymierzeńcem Hitlera.

Cicho i spokojnie szły na śmierć miliony.

One już wcześniej były uśpione i zaczadzone!

Ze strony nowoprzybyłych transportów Niemcy nie obawiali się niespodzianych, kłopotliwych reakcji. Natomiast więcej zachodu przedsiębrali dla uspienia czujności przebywających już ludzi w lagrze. Ci nie mieli już wątpliwości i choć bez broni, byli jeszcze niebezpieczni.

Tak np. kiedy zapadła decyzja zniszczenia lagru cyganów, zastosowano szereg skomplikowanych forteli i chwytów, by wmówić w cyganów, że jadą na transport do Niemiec. Przez dwie noce i dzień manewrowano nimi, polecając wsiadać i wysiadać na przemian z wagonów na auta i odwrotnie, puszczano w ruch motory i osiągnęli, że cyganie oszukani również spokojnie wchodzili do komór gazowych.

Jednej nocy, lagier złożony z 14 tysięcy ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci — zniknął.

Polia oświęcimskie, uprawiane przez nas, bujnie rodziły, użyźnione prochami narodów całej Europy.

Nasi więźniowie rozsypywali proch z krematorium po polach.



Oświęcim jest faktem. Oświęcim przecież musi świat nauczyć czegoś.

Musi nauczyć odróżniać prawdę od kłamstwa. Musi was — wszystkich, was z uśpioną czujnością, nauczyć wykrywać pomocników Hitlera nie tylko w mundurze SS, ale i tam, gdzie rzekomy patriotyzm służył do krzewienia bierności i rozbijania jedności walczących.

Poprzez płomienie krematoriów, poprzez gęstą, czarną chmurę sadzy, wiszącej nad Oświęcimiem, poprzez ziemię oświęcimską użyźnioną prochem tysięcy ofiar — spojrzysz czytelniku prawdzie w oczy. Miej odwagę wydobyć się z marazmu, nabierz w płuca innego powietrza, przetrzyj oczy i zobacz.

Oświęcim jest prawdą o faszyźmie.

Kiedy doszła nas wiadomość o zbrodni wymordowania 16 tysięcy oficerów polskich w Katyniu, zbrodni, którą Niemcy i grupa polityków polskich usiłowali przerzucić na Związek Radziecki — my, więźniowie koncentracyjnego obozu w Oświęcimiu nie mieliśmy wątpliwości k t o jest sprawcą rzeczywistym Katynia.

W sierpniu 1944 r., kiedyśmy nasłuchiwali z drżeniem odgłosów dalekich jeszcze armat, kiedy myśl o wolności zaczęła barwić się nadzieją, spadła na nas jak potworny grom wiadomość: Warszawa bezbronna pada.

Znowu wagony wypełnione ludźmi. Znowu mężczyźni, kobiety, dzieci.

Warszawski lud bezbronny rzucono w druty Oświęcimia.

Skłócone myśli, pomieszane pojęcia, sparaliżowane uczucia.

Czyż musieli się znaleźć aż tu, aby się ocknąć i zrozumieć?!

TRIUMF CZŁOWIEKA

Długie kolumny, kolumny, pasiaki, pasiaki, numery, cienie ludzi — są to więźniowie koncentracyjnego obozu w Oświęcimiu. Takimi widzieli nas pewnie Niemcy, takimi chcieli nas widzieć, choć rozczarowywali się, gdy nagle opadała im w trwodze wymierzona do uderzenia pięść, spłoszona spojrzeniem cienia ludzkiego w pasiaku. Był to ten błysk utajonego ognia, płonącego pod pokrywą znużenia, zniszczonego człowieczeństwa.

Nierzadko zdarzało się, że prześladowcy nasi słupieli w zdumieniu, w podziwie, zahypnotyzowani wzrokiem, niekiedy słowem bezbronnej ofiary.

Pamiętam twarz gestapowca, kiedy usłyszał ode mnie słowo pogardy w odpowiedzi na propozycję uratowania mi życia za cenę tchórzliwego postępku.

Mam na oczach obraz zażenowania jednej SS-Frau, gdy z łakomym spojrzeniem kontrolowała paczkę koleżanki Haliny, a ta manifestacyjnie ofiarowała ją obok stojącej koleżance. Widzę spuszczonego wzrok komendanta obozu, gdy przy przeglądzie zdrowia kobiet stanęła przed nim płonąca wstydem i oburzeniem dziewczyna.

Nie zapomnę uniżonych zabiegów jednego SS, który starał się uchodzić za człowieka wspaniałomyślnego w oczach więźniów.

Pamiętam bezsilną złość jednego z szefów, który chcąc pognać więźniarkę, zmusił ją do niesienia kilkunastu ciężkich łopát i nagle ujrzał jak obskoczyły nieszczęśliwą koleżanki, odebrały od niej łopaty, pozostawiając ją z próżnymi rękami.

Pamiętam również apoplektyczną wściekłość SS-frau

gdy chcąc poniżyć młodą więźniarkę, włożyła jej naczynie nocne na głowę, a ta zamiast płakać — śmiała się jej w twarz.

Nie zatrze się nigdy we mnie wspomnienie nędznej figury SS-mana, który katował na oczach kobiet mężczyznę, by wydobyć zeń krzyk bólu, a ten — choć okrwawiony i umazany błotem, w które go wdeptano, podniósł się i mocno patrzył przed siebie. Kat, czując porażkę, splunął bezsilnie za oddalającym się człowiekiem, który ślaniał się na nogach.

Bywały dni, kiedy Niemcy wypompowali z nas wszystkie siły w pracy przechodzącej wytrzymałość człowieka. Warto było widzieć właśnie w te dni, jak nie umieli ukryć podziwu dla kobiet, które mimo zmęczenia wyzywająco śpiewały.

Zanosili się wściekłością, choć sami czuli się skompromitowani, kiedy kolumna więźniarek, wbrew rozkazowi : « ein Lied », grobowo milczała lub zaczynała śpiewać... po polsku. Mścili się, każąc nam maszerować przez największe błoto, ale i tym nie zmusili nas do uległości.

Pamiętam i taką porażkę niemiecką. Była to Wielkanoc 1944 r. Komenda obozu dała nam niezwykle brudną i uciążliwie bezużyteczną pracę przesypywania w stodole plew z miejsca na miejsce. Kurz smażył nam twarze i odzież, zatykał oddech, a mimo to kobiety, pracując z umyślną opieszałością, śpiewały : « Alleluja » i inne pieśni wielkanocne.

Mimo straszliwych kleszczy, w których żyłyśmy, nierzaz w drobnych sprawach, lecz spontanicznie manifestował się opór gromady, wybuchając jak ogień z iskry skrzesanej spojrzeniem towarzyszeki niedoli, skurczem zaciśniętych szczęk, ruchem zwiniętej pięści.

Niemcy podobnymi aktami oporu byli tak zaskoczeni, że niejednokrotnie poza wybuchami wściekłości i biciem ludzi, którzy znajdowali się pod ręką, nie zdobywali się na inną reakcję i zdradzali bezsilność.

Otoczający nas władcy niemieccy wykazywali prawdziwy kompleks Minderwertigkeit, tak że każde śmielsze spojrzenie, uśmiech nawet przypadkowy wprawiał ich w zakłopotanie i delirium gniewu.

Nie chcąc prowokować bez potrzeby bestii, świadomie unikałyśmy spojrzeń w ich stronę, wstrzymywałyśmy uśmiech na ustach, tłumiły rozmowy, bo Niemcy ciągle podejrzewali, że oni są przedmiotem naszej drwiny i rozmów.

Podchodzili wtedy i pytali nas, czego od nich chcemy. Niemcy odznaczali się niezwykłą drażliwością na punkcie własnej osoby, toteż czuli się niesłuchanie złe, kiedy okoliczności stawiały ich przed oczy więźnia, a oni z jakichś powodów nie mogli bić. Jedynie wtedy, kiedy tłukli, lub przeprowadzali selekcję do krematorium, powracała im pewność siebie i wyzwalali w ten sposób swoją moc « narodu panów ».

A tymczasem, mimo miazdzącego fizycznego i moralnego terroru, żarzyła się wieczna walka, toczył się z przemocą niewidzialny bój o godność ludzką, o niezależną wolną myśl, o uczciwe bicie serca ludzkiego, o zachowanie życia fizycznego. Opór ten nie zawsze zorganizowany był w masie, nawet jeśli był spontaniczny, nie zawsze ogarniał gromadę, ale indywidualny był stały.

Nie zapomni nigdy pewnie Sala K. kułaków SS-mańskich na swej twarzy za chodzenie po obozie po « lagerruhe », kiedy niosła dla koleżanki z innego baraku skradzioną z magazynu ciepłą koszulę. Nie liczyła sobie na pewno Sala tych « ewentualności » za poważną przeszkodę, bo obierając magazyny niemieckie, ubrała w ciepłą bieliznę wszystkie koleżanki z krakowskiego więzienia. Ona pamiętała o nich już wtedy w Oświęcimiu, kiedy one jeszcze czekały swej kolejki na transport z więzienia do obozu. W noc, kiedy przyjechały do lagru, Sala już miała przygotowaną dla nich odzież i już teźże nocy wyszukała je i przyjaciółki Sali nie poszły na pierwszy pięciogodzinny apel w styczniu « rozebrane » przepisowo.

Sala miała swoją własną filozofię życia w obozie. Uważała, że Niemcy nigdy nie mogą nas dotknąć, obrazić, choćby i pięścią wybili nam zęby, bo czyż ludzie obrażają się na psa, który ich gryzie? Według Sali, wtedy tylko honor więźniarki cierpiał naprawdę, kiedy ona stawiała się układowa i usługowa wobec władz niemieckich.

Sala rzadko miała zaciśnięte w pasji szczęki — odwrotnie — promieniała pogodą; mądrość swoją i spokój czerpała z głębokiej wiary w człowieka. Czy były kobiety z baraku 2 B, które nie znały Sali, maglarki z Krakowa? Które nie wiedziały, że w każdej biedzie znajdą u Sali poradę i pomoc, bo Sala dla siebie nigdy wiele nie potrzebowała a dla innych zawsze coś znalazła.

Nie wiele znowuż było osób, które naprawdę znały Jankę O. Spokojna, nigdy nie wypadła z równowagi; daleka i obojętna na wszystkie otaczające ją wzburzenia i animozje. Ona miała swój krąg własnego życia, który zdawało się, że ograniczał się do jednej myśli o ojcu i domu. Nikt nie dostrzegł, że Janka wtedy, kiedy tak trudno było zdobyć wodę do picia i mycia, wiadomym sobie tylko sposobem wydobyła miskę wody i ustawiła ją niepostrzeżenie koleżance.

Jeśli ktoś był chory w otoczeniu Janki, dla tego nie wiadomo skąd znajdowały się lekarstwa. Skąd Janka je wydobywała — prawie nikt o tym nie wiedział. Janka dostawała z domu niezwykle pieczołowicie pakowane paczki, gdzie każdy drobiazg starannie był owinięty, włożony w specjalnie zrobione pudełko. Wszystkie rzeczy zawarte w paczce opisane z podaniem rodzaju i ilości.

Widać, że wysyłający te paczki ojciec poświęcał większość swego czasu na ten cel, a przede wszystkim dobrze obmyślał sposoby, żeby zaopatrzyć córkę we wszystkie możliwe lekarstwa, których nie wolno było przesyłać.

Janka mało dzieliła się z ludźmi swoimi myślami i nikt ani śmiał przypuszczać, że Irka Ukrainka, która

uciekła, dokładne plany okolicy dostała od Janki. Janka dawniej była nauczycielką w sąsiednim Jaworznie.

Marysia S., tak zwana Duża, bo istotnie postacią wyrastała ponad inne, znana była wszystkim z tego, że nie było dla niej dość ciężkich okoliczności, które nie pozwoliłyby jej śpiewać sobie. Wiosenny śnieg z deszczem cały dzień zacina, w butach chlupie woda, ubranie zmoczone oblepia ciało, dreszcz wstrząsa ciałem, a Marysia przestępuje z nogi na nogę i śpiewa. Wszystkie pobożne śpiewki, wszystkie piosenki jakich nauczyła się w swojej rodzinnej podgórskiej wiosce stanowią nieprzebrany repertuar, który wystarczy jej na całe 10 godzin pracy.

Kto chciał ucieszyć się, odwrócić myśli od ciężkiej obecnej chwili, ustawił się w pracy w pobliżu Marysi. Poddawał się działaniu Marysinego nucenia i godziny trwania na mrozie i deszczu szybciej zbiegały.

Marysia zawsze po powrocie z pracy otoczona była koleżankami. Starsze kobiety wiejskie i młode dziewczęta jednakowo przychodziły pogwarzyć do Marysi.

Marysię nazywano elegantką; ona znajdowała sposoby, żeby zawsze mieć czystą chustkę na głowę, znajdowała czas i siłę na czyszczenie butów nieraz i 2 razy dziennie. Marysia śpiewała i uśmiechała się do wszystkich, ale jeśli ktoś przychlebiał Niemcom, to niedługo czekał, aż Marysia czerwona z gniewu, nie przebierając w jedrnych słowach swojego rodzinnego języka « rozstawiła mu fami-lię po kątach ».

Myśl biegnie z trwogą o los lekarki Soni R., która była kierowniczką ambulansu przy naszym komandzie. Nikt nie potrafił ułożyć swego wewnętrznego życia mając przed sobą krematorium, wiecznie czynne, z którego smród palonych kości stale uświadamiał to, co się dzieje i to do czego nas samych każdy dzień zbliża.

Sonia, wychowana w Belgii, o głębokiej kulturze ogólnej a zwłaszcza społecznej, nadto Żydówka. Tym trudniej przychodziło jej znaleźć jakiś « modus vivendi »

dla siebie. Bezbronność w obliczu dokonywującej się zbrodni na jakąś linię mogła sprowadzić człowieka?

Życie osobiste Soni było wiecznym targaniem się i męką, większą jeszcze niż nasze, bo pozbawiona była tej ulgi, jaką dawało wyjście w pole do pracy.

Któż mógł odgadnąć, co dzieje się w sercu tej kobiety, uśmiechniętej, dowcipkującej i tak pochłoniętej swoim zawodem lekarki? Sonia wyprowadziła dla siebie jeden wniosek praktyczny, który regulował jej życie. Mówiła do mnie: «Wiem, że spełniam pożyteczną pracę, pielęgnując moje chore współtowarzyszki doli i zawód mój jest najcudowniejszy, bo pozwala mi przynosić ulgę cierpiącym.»

Sonia nie liczyła swoich nieprzespanych nocy, spędzonych na czuwaniu przy chorych, nie dbała o leczenie swej własnej choroby, bo dla siebie nie miała czasu, by położyć się na kilka dni do łóżka. Wiecznie na nogach, wiecznie na usługach innych. Nawet wtedy, kiedy nie pracowała przy chorych, oddawała swój czas w niedzielę po południu na uczenie koleżanek języka francuskiego.

Ale Sonia nie tylko spełniała swoje obowiązki lekarza. Sonia nadstawiała za chorych swój kark a nawet życie. W interesie Niemców było gnać jak najwięcej ludzi do roboty. Sonia narażała się na wiele przykrości i szykan, pozostawiając w ambulanse więcej kobiet, niż Niemcy na to pozwalali. Zniosła wiele wyzwisk i pogroźek, a mimo to zawsze dawała tytuł chorej, a tym samym prawo do odpoczynku większej ilości kobiet, niż miała na to prawo. Obowiązkiem lekarki było zgłaszać do władz obozowych przypadki tyfusu i malarii, gdyż Niemcy twierdzili, że wysyłają tych ludzi na lepsze powietrze. Myśmy dobrze wiedziały, gdzie i jakie jest to lepsze powietrze. Byłyśmy już doświadczone historią zagazowania jednego dnia 2 tysięcy osób chorych na tyfus... Kartoteki Soni nigdy takich chorób nie wykazywały...Wiele chorób zakaźnych można na przykład pokryć «nieszkodliwą gripą», ale z malarią było trudniej, gdyż objawy choroby zbyt się rzucają w

oczy otoczeniu. A jednak Sonia używała pomyslnych wykrętów, by ukryć chorobę malarii. Uratowała w ten sposób życie wielu kobietom.

Helenkę nazwano «dziewczęciem z epoki kamienia łupanego». Nazwa podkreślała przede wszystkim nie tyle konserwatywne poglądy Helenki, ale jej nieustępliwą, bezkompromisową, nieugiętą, nienawistną postawę wobec Niemców. Helenka nie odróżniała wśród naszych ciemieczków Niemców złych i dobrych. Dla niej na te tematy nie było dyskusji. Miała o Niemcach wyrobione zdanie: mordercy.

Pracowałam pewnego razu z Helenką przy wiązaniu rzepaku. Rozwinęła się rozmowa, dla jakich celów Niemcy sieją tak dużo rzepaku. Oczywiście stwierdziłyśmy, że smarów im potrzeba i my naszą pracą przysparzamy Niemcom korzyści, same pomagamy w przedłużaniu naszej męki. Na to pokazałam Helence, jak ja staram się, aby z pracy mojej Niemcy niewiele pożytku odnosili. Na kłosa każdego snopa, który wiązałam, nadeptywałam nogą, pozornie dla ściągnięcia sznurkiem dobrze słomy. Po takim moim związaniu snopa, niewiele pozostawało już w nim ziarna, które wymłócone leżało na ziemi.

Helence zaświeciły się oczy: odkryłam przed nią broń ludzi ciemieżonych. Od tej chwili Helenka darzyła mnie swoją cenną, równie mocną jak niełupany kamień, przyjaźnią.

Z daleka tylko znałam Wasyłka, ale go nigdy nie zapomnę. Pracował przy koniach i czasem spotykałam go przy robocie w polu. W komandzie męskim, które pracowało z nami, byli przeważnie Rosjanie, toteż mało było takich wśród nich, którzy dostawali paczki z domu. Inaczej niż w komandzie kobiet, gdzie było więcej Polek, pozostających w kontakcie z rodzinami.

Wasyłko długo zawsze się wymawiał, nim zdecydował się wziąć śniadanie, jakie Polki mu podały. Zawsze pyta z niepokojem: a ty nie jesteś głodna?

Wasyłko dumnie nosił swój zaszczyt płynący z tytułu obywatela Związku Sowieckiego. Kiedy raz słyszał, jak jeden z jego kompatriotów obrzucał wyzwiskami swego koleżę, Wasyłko krzyknął: Ty Iwan, nie wstyd ci! Ty, obywatel Związku Radzieckiego masz w ustach taki brud?

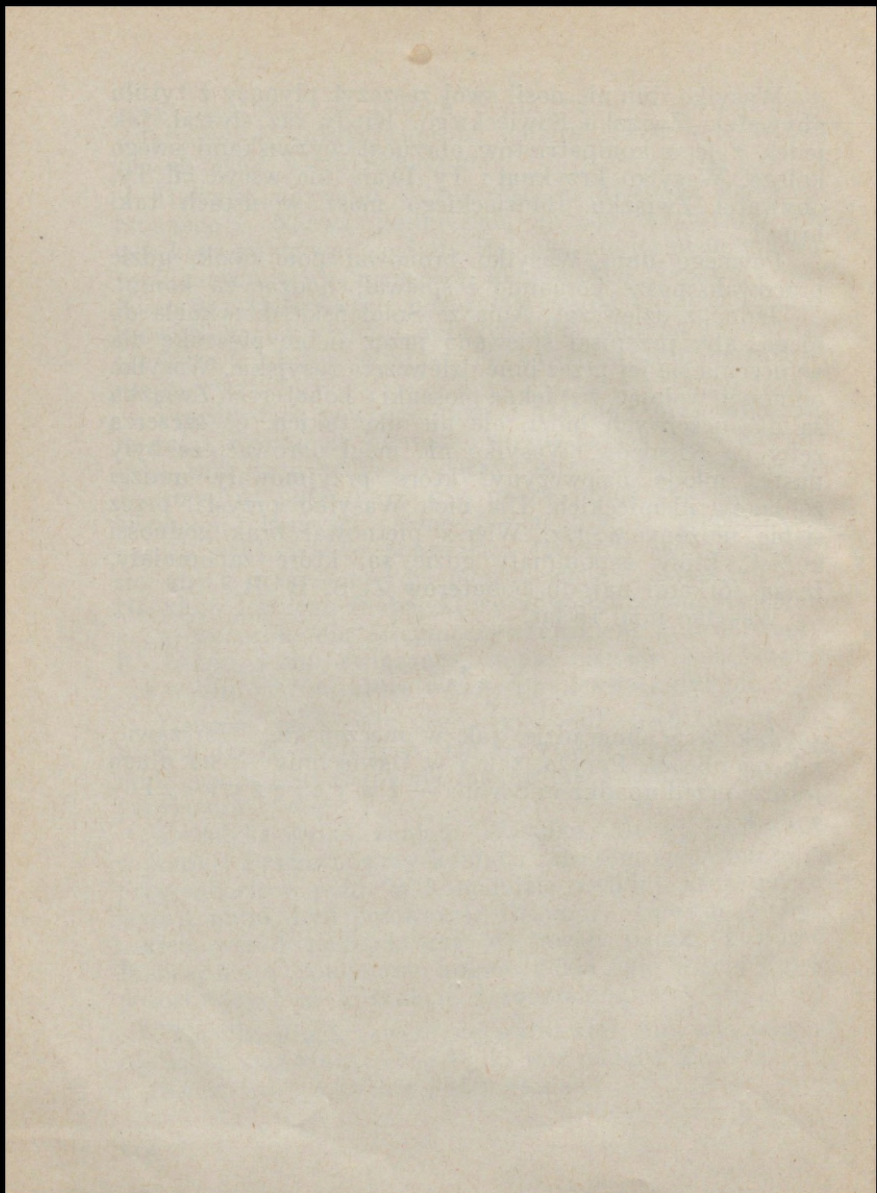
Pewnego dnia Wasyłko bronował pole obok, gdzie pracowało nasze komando i śpiewał, chodząc za końmi.

Jedna z dziewcząt, Ania ze Smoleńska, krzyknęła do niego, aby przepisał śpiewaną przez siebie piosenkę dla wyuczenia się jej przez inne dziewczęta rosyjskie. Wasyłko odmówił, wołając, że piękne piosenki o bohaterach Związku są dla uczciwych ludzi, ale nie dla takich, co szczerzą zęby do Niemców. Wasyłko nie mógł darować, że były puste, młode dziewczyny, które przyjmowały umizgi żołdaków niemieckich. Dla nich Wasyłko przysłał przez siebie ułożony wiersz. Wiersz piętnował brak godności kobiet, które zapomniały gdzie są, które zapomniały, że są córkami narodu bohaterów Z. S. R. R.

Wasyłko miał 18 lat.



Jak w Stalingradzie, jak w męczeńskiej Warszawie, jak na ulicach Paryża, tak i w Oświęcimiu — na długo jeszcze przed upadkiem Berlina — z w y c i ę ż y ł c z ł o - w i e k .



SPIS RZECZY

	Str.
<i>Przedmowa</i>	3
Wizja Oświęcimia na wolności	9
Odjazd z więzienia	11
Podróż w nieznane	13
Druty elektryczne	16
Barak transportowy	18
Postrzyżyny	23
Nasze mieszkanie — bloki	26
Błoto	31
Woda	35
Wszy	40
Apel	44
« Arbeit macht frei »	50
Święta	58
Saletra	61
Niemieckie żniwo śmierci	63
Hitlerowski bakcyl moralny	72
Życie podziemne w obozie	81
Jeden dzień w lagrze	90
Istotny sens Oświęcimia	100
Triumf człowieka	108



REPORT

1. The purpose of this report is to provide a comprehensive overview of the current state of the project and to identify the key challenges and opportunities for the future. The report is organized into several sections, each of which addresses a specific aspect of the project.

2. The first section, "Introduction," provides a brief overview of the project and its objectives. It also discusses the scope of the report and the methods used to gather data and information.

3. The second section, "Background," provides a detailed overview of the project's history and the context in which it is operating. It also discusses the key stakeholders and the resources available to the project.

4. The third section, "Current State," provides a detailed overview of the project's current status. It includes a discussion of the progress made to date, the challenges faced, and the opportunities for improvement.

5. The fourth section, "Recommendations," provides a series of suggestions for how the project can be improved. These recommendations are based on the findings of the report and are designed to address the key challenges and opportunities identified.

6. The fifth section, "Conclusion," provides a summary of the key findings of the report and a final statement of the project's goals and objectives.

7. The report is intended to provide a clear and concise overview of the project and to serve as a guide for the future. It is hoped that the information provided will be helpful to all those involved in the project and that it will lead to a more successful outcome.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA
RADY NARODOWEJ POLAKÓW WE FRANCJI
« KSIĄŻKA POLSKA WE FRANCJI »



UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS :

	<i>Cena</i>
ADAM MICKIEWICZ : Wybór Pism	40.—
MARIA KONOPNICKA : Wybór Poezji	20.—
MARIA KONOPNICKA : Nowele (Wyczerpane)	
BOLESŁAW PRUS : Nowele	45.—
ELIZA ORZESZKOWA : Wybór Pism	35.—
STEFAN ŻEROMSKI : Pisma Wybrane	40.—
HENRYK SIENKIEWICZ : Opowiadania	35.—
GUSTAW KADEN : Legion Mickiewicza	15.—
ZBIÓR PIEŚNI NARODOWYCH, ŻOŁNIER- SKICH, ROBOTNICZYCH I LUDOWYCH (Wydanie drugie)	30.—



Adres Wydawnictwa :

EDITION DU C. N. P. F.

7, rue Crillon, PARIS (4^e)

NAKŁADEM WYDAWNICTWA
RADY NARODOWEJ POLAKÓW WE FRANCJI
« KSIĄŻKA POLSKA WE FRANCJI »



UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS :

	<i>Cena</i>
E. OSÓBKA MORAWSKI : Odrodzona Polska w nowej Europie (Wydanie trzecie)	15.—
ALFRED LAMPE : Miejsce Polski w Europie (Wydanie drugie)	20.—
B. MARK : Powstanie w ghetcie warszawskim ...	20.—
JÓZEF WASOWSKI : Podróż do Z. S. R. R. ...	15.—
PIERWSZA ROCZNICA MANIFESTU LIPCO- WEGO	25.—
PROCES 16 — Okulickiego i innych	35.—
FRANCISZEK KARSKI : Zwycięstwo demokracji polskiej	30.—
TADEUSZ ŻEROMSKI : Poradnik dla resyserów	30.—
O KARTELACH, KONCERNACH I TRUSTACH	15.—
JULIAN ANDRZEJEWSKI : Pójdziemy na Ziemie Odzyskane	8.—
DEMOKRACJA I REAKCJA W POWSTANIACH NARODOWYCH	20.—
ELEMENTARZ DLA DZIECI POLSKICH WE FRANCJI	30.—



Adres Wydawnictwa :

EDITION DU C. N. P. F.
7, rue Crillon, PARIS (4^e)

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

6100/1



11-006100-000-0